Nr. 51 (1147). Warszawa, 7 (20) Grudnia 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Przyjaciół ***Prawdy***, *zapraszamy do prenumerowania jej w roku 1903. W roku przyszłym do odcinka mamy obiecany dłuższy utwór powieściowy autora „Na kresach lasów,“ „W matni“ Wacława Sieroszewskiego (Sirki), którego druk rozpoczniemy zapewne jeszcze w ciągu pierwszego kwartału.*

Po ukończeniu wychodzącej obecnie w dodatku kwartalnym do ***Prawdy*** *—* ***Historyi filozofii*** *F. Kirchnera, zamierzamy wydać, bądź w dodatku, bądź oddzielnie:* ***Filozofię pieniądza*** *G. Simmel'a i* ***Zarys dziejów wiedzy przyrodniczej*** *dr. Fryd. Dannemana.*

W dalszym ciągu z zapowiedzianych prac wyjdą:

1) ***Zarys psychologii*** *Bradforda Titchenera.*

2) ***Wstęp do psychologii porównawczej*** *i*

3) ***Zachowanie się zwierząt*** *Lloyd Morgana.*

4) ***Gramatyka wiedzy*** *Karola Pearsona.*

Z początkiem roku przyszłego 1903 ***Historya filozofii*** *F. Kirchnera z dopełnieniami wyjdzie w całości i będzie do nabycia w Administracyi* ***Prawdy.***

Ponawiamy prośbę o wczesne nadsyłanie przedpłaty, gdyż zbyt spóźnionym zapotrzebowaniom możemy nie być w stanie zadośćuczynić.



NAPAŚĆ

Cesarz Wilhelm przybywał do Anglii z gorącem sercem — ale i z zimnym interesem. Urzędowa korespondencya, złożona przez rząd angielski parlamentowi, przekonała Europę, że spór o dolinę Jang-tse-kiangu podczas samego pobytu cesarskiego znajdował się w stanie zaognienia, któremu odpowiadało słusznie nerwowe usposobienie prasy angielskiej. Niemcy rzeczywiście zdobyli na Chinach pewne, niewiadome dotychczas ustępstwa i, mając już zdobycz w garści, mogli się zrzec oporu przeciwko współrzędnym i współczesnym zamysłom angielskim. Takie ukształtowanie stosunków, dla Anglii wielce niepożądane, nie przeszkodziło przecież rządowi angielskiemu wysłuchać propozycyi, którą dostojny krewny Edwarda VII przywiózł z sobą w innej zupełnie sprawie. Od wielu lat już spekulanci niemieccy uwijali się w Wenezueli; budowali koleje, rzeźnie, porty; prowadzili przedsiebiorstwa; dawali pieniądze, smarowali rachunki podwójną karczmarską kredką, aby wyjść z sutym zarobkiem. Kraj, znajdujący się od lat dwudziestu kilku w ustawicznych prawie wojnach domowych, nie mógł zobowiązań swoich należycie spełniać, a zniszczenia wojenne jeszcze ich brzemię zwiększały.

Anglia miała pretensye o wiele skromniejsze: naruszenie całości jakiegoś taboru kolejowego, jakieś zniewagi wyrządzane poddanym angielskim, jakieś przeszkody stawiane statkom w portach. Współdziałania bynajmniej nie nakazywał interes, nakazała go jednak uprzejmość, mimo słusznej niechęci o Chiny nietracąca swej sprawności. Porozumiano się o wspólną egzekucyę i postanowiono ją przeprowadzić. Niemcy miały publicznych i prywatnych pretensyj na 13 mil. 200 tys. fr., zwanych w Wenezueli „boliwaresami,“ Anglicy dotychczas nie powiedzieli, jak wysoko oceniają swe zniewagi i przeszkody i ile stracili na taborze, ale zobowiązali się tylko wspólnie z Niemcami swego dochodzić. Oczywiście, spółka zawiązała się pod hasłem *travailler pour le roi de Prusse.* Zapewne chciano i Francyę wciągnąć do wesołej kompanii, bo i Francya ma do Wenezueli różne pretensye; ale rzeczpospolita trzyma się dotychczas na uboczu. Zato Włochy z uprzejmości dla Anglii, o której gabinet włoski niedawno tak gorąco odezwał się w Izbie, stanęły odrazu na wezwanie. I one mają rachunek na 2 mil. 800 tysięcy boliwaresów; i one też współcześnie z egzekucyą anglo-niemiecką podają go dłużnikowi.

Egzekucyę ubrały oba mocarstwa współdziałające w formę najostrzejszą, jaka być może, bo wojenną. Nicość uchwał w Hadze wobec tej formy wyłazi w całej swej nagości. Niemcy posłały cztery okręty, Anglicy z poblizkiej Trinidad na początek jeden. D. 7 b. m. pod tą grozą obaj posłowie, Pilgrim i Haggars, doręczyli *ultimatum* — w prywatnem mieszkaniu prezydenta Castro, z obawy pobicia czy też uwięzienia, czem jakoby groził im zwierzchnik federacyi wenezuelskiej: oczywiście kłamstwo. Gdy nazajutrz nie otrzymali odpowiedzi, zwinęli chorągwie i odpłynęli na stacyę angielską w Trinidadzie. D. 9 b. m. zaczął działać Mars. Okręty przed La Guayra, portem Caracasu, stolicy rzeczypospolitej,

zanim zebrały się do opanowania przystani i komory, postanowiły wyłapać maleńką flotylę nieprzyjacielską. Ścigały ją wzdłuż całego pobrzeża, roztaczając jednocześnie blokadę. Niemcy schwytali cztery statki, z których jeden okazał się obciążony prawem Francyi; z pozostałych dwa odrazu zatopili; trzeci wzięli do swego użytku. Odpowiedź Castra d. 10 b. m. nie wstrzymała takich działań. Gdy zrozpaczona ludność w Puerto Cabello rzuciła się na okręt angielski w porcie, zaraz, nie czekając na odmowę zadośćuczynienia, angielska „Charibdis“ d. 13 b. m. zbombardowała fort i komorę, wszakże „oszczędziła miasto.“ Gdy Castro nakazał zadośćuczynienie, już miasto było „oszczędzone,“ tj. zbombardowane. Na wojnę Castro odpowiada wojną. Wezwał ludność od 18 do 50 lat, zgromadził w La Guayrze do 3,000 żołnierzy i kilkadziesiąt armat; czeka na zaczepkę. Według najnowszej wiadomości, wspólnicy napaści wpłynęli do portu — więc bez walki?

Castro miał d. 11 b. m. do ludu ognistą przemowę, ale ogień słów nie jest ogniem czynów. Wojny domowe mszczą się niemocą. Zdrada czyha; Rolando i Reira ruszają przeciw prezydentowi jako sprzymierzeńcy wrogów. Kraj zniszczony, ze słabem zaludnieniem (25 na 10 klm. kwadr.), mający tylko 2 mil. 700—800 tys. mieszkańców, przy słabej kulturze i cywilizacyi, niewiele będzie mógł dokazać. W każdym razie dotychczas Castro broni jego godności, wielkiego czynnika siły i potęgi, równie dla jednostkowych, jak dla zbiorowych indywidualności.

Co robią Stany Zjednoczone, co doktryna Monroego? Stany Zjednoczone, przyjąwszy opiekę nad poddanymi Anglii i Niemiec, teraz namyślają się, czy i co więcej zrobić. Doktryna Monroego jęczy. Wprawdzie oba państwa zapewniły, że o zdobyczach terytoryalnych nie myślą, a Stany Zjednoczone zapewnienie to wywołały, wydobywając z cesarza Wilhelma dwa słowa: „Rozumiem i zgadzam się“; ale taka energia i taka odwaga nie wystarczają do ocalenia zasady dla Stanów Zjednoczonych mającej wagę fundamentów z granitu, które świat pod wszelkimi stosunkami i wypadkami w Ameryce wyczuwać powinien, jeśli ma same Stany Zjednoczone uszanować. I eskadra, jakoby z Portorico już d. 14 b. m. wysłana pod Trinidad, niewiele pomoże bez wojny, a na wojnę chyba ani zdecydowaną, ani przygotowaną Unia nie jest. Dla uroku, dla całości doktryny jeffersonowskiej, noszącej nazwę Monroego (2 grudnia 1823 r.) potrzeba, aby żadne działo europejskie nie grzmiało nigdy nad wodami i lądami Ameryki, a to się już stało. Napoleon III swoje eksperymenty w Meksyku mógł urządzać daleko bezpieczniej, niż dziś Anglia i Niemcy w Wenezueli. Samo nawet pośrednictwo Stany Zjednoczone podejmują z dziwną bojaźliwością, dziwnie późno, a nie dziw wcale, że bez nadziei. Wczesne zapobieżenie egzekucyi było jedynym czynem politycznym, godnym rozumu i potęgi. Dziś już zapóźno, a mowa ludzka nie zna poważniejszego wyrazu od tego *zapóźno*.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Goniec urzędowy zamieszcza ważny komunikat o stanie rzeczy na półwyspie Bałkańskim. W zakończeniu powiedziano: „Rząd rosyjski spodziewa się, że rząd sułtański, przedsiewziąwszy wszystkie środki do ukrócenia gwałtów i okrucieństw, oceni doniosłość przyjacielskich przedstawień Rosyi w interesie chrześcian w Macedonii. Szybkie uspokojenie staje się najlepszym sposobem zapobieżenia jak najniebezpieczniejszym dla państwa otomańskiego zawikłaniom.“

Hr. Lamsdorff zapowiedział przyjazd swój do Wiednia.

Sejm niemiecki uchwalił d 9 b. m. zmianę w regulaminie Izby. Zniesiono ustęp I art. 44, nakazujący prezydentowi dopuszczać bezzwłocznie do głosu w kwestyach formalnych. Odtąd głos taki zależy od uznania prezydenta i nie może trwać dłużej nad 5 minut. Większość, stanowiąc takie prawo dla Izby, na wniosek Gröbera i Bessermanna, chce zatamować opór przeciwko swym zamysłom. Uchwała stanęła 206 gł. przeciwko 92. D. 12 b. m. odrzucono wszelkie poprawki do wniosku Kardorffa (202 — 119). D. 13 b. m. posiedzenie trwało 20 godzin, do 5 zrana. Uchwalono taryfę 202 gł. przeciwko 100. Bülow i Posadowsky uściskali się z radości. Sejm wypoczywa do 13 stycznia.

Rząd węgierski cofnął ustawę o poborze do wojska. Zato Kossutyści przyrzekli nie robić awantur... D. 10 b. m. Szell zażądał od sejmu uznania wyroku w sprawie o Morskie Oko za prawomocny; zawiadomił przytem, że rząd austryacki cofnął zastrzeżenie prof. Balzera, dotyczące Polskiego Grzbietu. Czesi, nawet nie uchylając się od rozpatrzenia warunków ugody z Niemcami, odmawiają zaniechania obstrukcyi w Radzie państwa. Kupcy, rolnicy i przemysłowcy przez deputatów swych poprosili Izbę o uciszenie się; stawili się i przed Korberem. Ugoda rozbija się na obie strony i z Węgrami i Czechami. Rada państwa ma być jeszcze w tym tygodniu odroczona do 10 stycznia.

Sejm galicyjski zbiera się d. 29 b. m. wszystkiego na trzy dni. Tak było i przed rokiem.

André miał d. 15 b. m. mowę w Luneville— znowu patryotyczną: żołnierz francuski potrafi obronić ojczyznę. O tego żołnierza państwo dbać będzie. Nie godność i zaszczyt, ale służba z obowiązku względem ojczyzny: takie marzenie żołnierza zobowiązuje do stałej troskliwości o jego dobro.

Balfour zawiadomił Izbę gmin, iż rząd organizuje teraz radę zwierzchnią obrony narodowej. Izba przyjęła wiadomość z wielką uciechą i upoważniła rząd do tworzenia rezerw milicyi.

Sądy angielskie skazały patryotę irlandzkiego, Hilbride'a za „podżeganie do mordu,“ na 8 miesięcy więzienia.

Król portugalski opuścił Anglię dopiero d. 10 b. m.

W Marsylii zaburzenia z powodu bezrobocia portowego.

Ogłoszone teraz w Londynie żądania stawiane Anglikom przez „szalonego“ mułłę, ukazują niegodziwość angielską. Anglicy tamowali dowóz broni i nie dawali przystępu do morza. Rozumnie zrobił „szalony,“ że ich przepłoszył. Wiadomość o zamordowaniu go nie sprawdzona.

Na Meneliku wymogli Anglicy kolej przez Abisynię i grunt pod stacyę handlową.

W Marokku zbiera się coraz wyraźniej na interwencyę zbrojną mocarstw i rozbiór sułtanatu.

Traktat wzajemności handlowej pomiędzy Kubą a Stanami Zjednoczonymi zapewnia wyspie zniżenie ceł o 20% wzamian za 30% przyznane Stanom Zjedn. Ma ta wzajemność

---

5)

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

ŚLUBY.

(Z dalekich ech).



XXI.

Okrągłe, nizkie łuki wrastają w marmur posadzki licznemi łodygami drobnych kolumn, a na kamiennych polach ścian ścielą się, jak kapryśny szron śnieżny, gałęzie arabesek na tle mocnego błękitu. Miękie siedzenia obiegły naokół komnatę, lśniąc przepychem kobierców damasceńskich, niby zatopionych deszczem szafirów, rubinów i szmaragdów, takie z nich biją blaski i ćmią się cienie sztucznie splecionych barw. W przejrzyste hafty portyków płyną od łanów różanych, z ogrodów ciemnych, niewidzialne balsamy nocy wschodniej — i zda się, namaszczają ciała olejem drogocennym, upajają i pieszczą dusze rozkoszną wonią... Jeden tylko wodotrysk, bijący pyszną kaskadą w białym basenie, śle wązką smugę ochłodzonego powietrza ku wnętrzu domu.

— W jasnej szacie... Sama, jak złota jutrzenka wśród mroków wieczora... w progu zaczarowanej komnaty... zda się, uciekająca skwapliwie... O Panie! niech myśli moje przy Tobie pozostaną, niech widzę marność pomięt ziemskich!..

— Wejdź po tych stopniach, bracie miłosierny. Pani moja chce mówić z tobą na osobności, bo ważne sprawy pragnęłaby złożyć dziś w ręce twoje. Niewierni o tej godzinie na modły swe pogańskie ku miastu pośpieszyli. Cicho tu, nikt nie podsłucha waszej rozmowy.

...Ona wciąż stoi nieruchomie. Nie pochyliła głowy, ani skinęła nawet na jego ciche pozdrowienie. Aż kiedy ciężki rygiel brzęknął za furtą pod ręką dworzanina, płomienne jej wejrzenie padło na stojącego w niemym podziwie młodzieńca... I wślad za owym płomieniem oczu, sama, jak płomień, burzą gnany, wionęła nagle ku niemu... I gdyby był nie rozpostarł przed sobą sztywnych a ostrych, zda się, jak miecz ramion, — płomieniem tym burzliwym objęć swoich oplotłaby się dokoła niego...

Stał nieruchomy, z dziwnym uśmiechem na zbielałych wargach.

— Nareszcie larwa spadła ci z oblicza! spadła już raz na zawsze, wabny szatanie! Ale się mylisz, myśląc, że straszna jesteś dla mnie!

Cofnęła się, zachwiała i padła ciężko na ziemię, jakby naprawdę była szatanem, zmiażdżonym świętem zaklęciem i widokiem krzyża, w który się ramiona jego na piersi złożyły. I tak, napoły klęcząca, napoły obalona, koronę złotych warkoczy tarzając w pyle u stóp jego, zdawała się zatapiać w bezdennej męce, śmiertelnie ugodzona, zdeptana.

W oczach jego w krotce zagasły płomienie zgrozy, a twarz przybrała wyraz powagi i skupienia. Patrzył na nią przez chwilę z pogardliwym spokojem, a potem cicho się ozwał:

— Zdawało ci się, iżeś już zwyciężyła, rzuciwszy mnie w przepaść świata. Lecz wówczas, gdyś mnie ku niemu popychała, Chrystus wywiódł mnie obronną dłonią na szeroki gościniec, bym służył Mu wedle woli Jego. Otworzył on oczy moje na bezowocny mój żywot i pokierował moimi krokami. Cóż zyskałeś, zły duchu, niegdyś w postaci anioła o ziemskich, rozkochanych źrenicach, wabiący mnie ku myślom swoim? Teraz już tylko w postaci Venus pogańskiej wabisz mnie ku ciału swemu. Cóż zy-

trwać lat pięć. W każdym razie stosunki wchodzą na drogę, która może się nieokazać dla Kuby krzywdzącą. Manifestacye, kilka tygodni temu w Hawanie wywołane przeciw opiekunom, niezawodnie przyśpieszyły uporządkowanie stosunków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Odezwa Towarzystwa wyborczego na Górnym Śląsku. — Wyznanie wiary demokratów narodowych. — Stanowisko prasy centrowej. — Ksiądz germanizator. — Nowa kompromitacya Koła polskiego. — Wybory do rady miejskiej w Poznaniu.

Górnośląskie Towarzystwo wyborcze, założone przez demokratów narodowych, skupiających się dokoła katowickiego *Górnoślązaka*, wydało już odezwę, zapowiedzianą na pierwszem zebraniu w Gliwicach. Odezwa ta charakteryzuje pokrótce dotychczasowe losy Górnego Śląska, a więc germanizacyę wszystkich warstw nieludowych, następnie powolne budzenie się ludu do świadomości narodowej pod wodzą redaktorów pism, dalej wzmożenie się ruchu ludowego i jego emancypacyę z pod wpływu redaktorów polsko-centrowych. Odezwa podnosi fakt, że lud górnośląski w ciągu ostatnich lat dziesiątków nabrał pewnej wprawy politycznej i wyzwolił się pod względem obywatelskim, a jednocześnie liczba inteligencyi polskiej na Górnym Śląsku wzrosła ogromnie. Wskutek tego nie może już być mowy o tem, aby redaktorowie i wydawcy gazet narzucali *swoją* politykę *całemu* społeczeństwu, gdyż losami jego powinny kierować nie jednostki, lecz obywatele sami, przedstawiciele wszystkich warstw, stojących na podstawie narodowej. Otóż, autorowie odezwy uważają za słuszne wystąpić w roli „obywateli polskich i zjednoczonych przedstawicieli wszystkich warstw społecznych.“ Jako tacy oświadczają, że „mając na oku wyłącznie dobro społeczeństwa naszego, postanowili ująć sprawy publiczne w swoje ręce i cały nasz ruch narodowy skierować na drogi prawidłowe.

Jakiež jest wyznanie wiary politycznej nowego zastępu kierowników ludu górnośląskiego.“ Na to odpowiada odezwa: „Jesteśmy Polakami! Oto wyznanie naszej wiary politycznej.“ Konsekwencyą takiego postawienia sprawy jest odmówienie wszelkiemu stronnictwu niemieckiemu prawa panoszenia się na ziemi polskiej. Odezwa oświadcza: „My nie zwracamy się przeciw centrum jako stronnictwu katolickiemu, bo w sprawach religijnych, jako katolicy, zawsze pójdziemy z niem ręka w rękę. Lecz zwracamy się przeciw centrum po pierwsze dlatego, że żaden Niemiec nie ma prawa wyciągać ręki po mandat polski, dalej, że centrum nabiera coraz bardziej cech partyi rządowej, a w końcu, że zwolennicy jego u nas uprawiają politykę germanizacyjną.“

Z tego ustępu widać, że grupa *Górnoślązaka* jest przedewszystkiem racyonalistyczną i katolicką. Jej poglądy społeczne najlepiej odzwierciedlają się w ustępie odezwy, poświęconym socyalistom. Odezwa mówi: „Kuszą się u nas o mandaty polskie także socyaliści niemieccy i tak zwani polscy, szczycąc się, że są jedynymi obrońcami uciśnionych. Nieprawda! Niedola ludu roboczego leży nam więcej, niż im na sercu! Zwalczamy socyalistów dlatego: 1) że są wrogami wiary i kościoła naszego; 2) że świętą nam narodowość uważają za rzecz podrzędną; 3) że sieją nienawiść i podniecają walkę klas wśród społeczeństwa naszego.

W końcu odezwa zapowiada, że Towarzystwo wyborcze chce ująć w karby pracę dorywczą na polu oświaty ludowej, organizacyi sił ludowych w spółkach i związkach zawodowych, a do Berlina wysyłać jako przedstawicieli „takich mężów, którzy znają opłakaną dolę ludu naszego i bezwzględnie będą zwalczali krzywdy, wyrządzane nam przez władze państwowe, przez zorganizowanych i niezorganizowanych nieprzyjaciół narodowości naszej, krzywdy wyrządzane nam przez wielkich kapitalistów i ich urzędników.“

Ta ostatnia zapowiedź stoi w zupełnej sprzeczności z ustępem, w którym posłowie z grupy *Górnoślązaka* zobowiązują się do wstąpienia do Koła. Co prawda, odezwa twierdzi, że Koło *musi* przyznać posłom śląskim wolność w głosowaniu nad sprawami gospodarskiemi i zarobkowemi, posiadającemi na Śląsku cechy odmienne, ale w ten *mus* naturalnie nikt nie wierzy. Organ Koła, *Dziennik Poznański*, oświadczył w odpowiedzi na adres, że o zrobieniu wyłomu w zasadzie solidarności Koła nie może być mowy. Pismo to mówi: „Przezornie postępując, należałoby co najwyżej marzyć o osobnej, choć nielicznej grupie polskiej, któraby bądź do centrum, bądź do Koła polskiego przyłączać się mogła w potrzebie.“ Organ junkrów polskich daje nacyonalistom górnośląskim niepozbawioną złośliwości odmowę, aby nie żądali przywilejów i wyjątków dla siebie, aby umieli zrobić ofiarę „ze względu na dobro ogółu“ — to jest reprezentowane przez Koło interesa wielkiej własności ziemskiej. *Dz. Poznański* staje tu na racyonalistycznym punkcie widzenia *Górnoślązaka* i pobija go jego własną bronią.

Ciekawem jest stanowiske prasy centrowej wobec akcyi, rozpoczętej przez *Górnoślązaka* i nowe Towarzystwo wyborcze. Stosunkowo jeszcze najprzychylniejsza dla Polaków *Kölnische Volkszeitung* ostro występuje przeciwko demokratom narodowym i to ze stanowiska wyznaniowo-historycznego. Zdaniem organu kolońskiego, zasada narodowości polskiej, z której wychodzi *Górnoślązak*, nie ma podstawy na Górnym Śląsku, albowiem przeszłość Śląska bardzo się różni od przeszłości Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich. Na Śląsku już w XII w. rozpoczęła się germanizacya, głównie przez klasztory Cystersów i innych zakonników, niemczących lud. Do właściwej polski politycznej Śląsk należał stosunkowo krótko, i bez prądów szowinistycznych niemieckich i polskiego odruchu w przeciwnym kierunku, przychodzącego z Poznańskiego, nie byłaby już pewno nigdy powstała na Śląsku kwestya narodowościowa. Dalej *Köln. Volkszty.* zastrzega się, że chociaż hakatyzm usprawiedliwia agitacyę narodową wśród Polaków śląskich, to jednak agitacya ta ani sama przez się nie jest usprawiedliwiona, ani też przedewszystkiem nie ma wielkich widoków powodzenia przy wyborach, gdyż znaczna część Polaków tamtejszych wcale jeszcze nie jest narodowo uświadomiona. Rezultat wyborów, według przewidywań *Kölnische Volksztng.* niebardzo się zmieni wskutek agitacyi polskiego komitetu wyborczego, jeżeli stronnictwo *Katolika* pójdzie ręka w rękę z Niemcami-katolikami. W końcu organ koloński mówi, że interes katolicki powinien był wskazać *Górnoślązakowi* inną taktykę. Robi on uwagę, że jeśli Polacy zasadniczo nie chcą głosować na Niemca, choćby ten był katolikiem, to czyż Niemiec-katolik ma wogóle ulegać zasadzie głosowania na Polaka? Najlepszem wyj-

---

skałeś zły duchu? Oto tyle tylko, iż cały żar mojej duszy obróciłeś ku czynom miłości Chrystusowej! Czy słyszysz? czy się radujesz?! Poszedłem za tobą w świat szeroki, lecz poto tylko, by tulić w chciwem objęciu najgorszą nędzę jego. Dla siebie zaś nic nie żądam, oprócz zachwyceń samotnych i prawa wielbienia Stwórcy w cudach świata Jego. Pogarda mnisza dla nędznej miłości ziemskiej towarzyszyć będzie mi zawsze bo „człowiek, miłości tej nieznający, aniołom staje się podobny“

Lecz ona, nagle od stóp jego się porwawszy, utkwiła w jego oczach równie wzgardliwe i śmiałe spojrzenie.

— Przemawiasz do mnie takiemi słowy, jakiemi Chrystus nigdy do jawnogrzesznic nawet nie mówił! A pycha twoja raczej straconym z nieba aniołom czyni cię podobnym. Uwielbiasz cnoty swoje, a ja w oczach twoich gorszą jestem od Magdaleny przed pokutą! Ale nie czuję skruchy za grzech niepopełniony i do stóp twoich nie przypadłam z pokorą; Równieś daleki bowiem od przenikania dusz ludzkich, od cnoty miłosierdzia, jak ja od grzechów Magdaleny! Błogosławisz szczęśliwość swoją dzisiejszą!.. Lecz któż, jeśli nie ja, odważył się, w poczuciu dumnej czystości, być ziemskiem narzędziem najwyższej woli, nie zaś szatańskiej, jak ci się znowu zdaje, nieszczęśliwy szaleńcze! Moja słaba dłoń dziewicza otwierała ci jednocześnie oczy duszy i ciała! Ziemska to wprawdzie moc, jak szalony huragan, uniosła mnie przed chwilą! Ale w tej mocy niema nic szatańskiego; w tej mocy — niema grzechu, jak niema go w nagłym rozpęku cudnego kwiatu i w wytrysku blasków słonecznych o rannej zorzy!... Serce twoje jest dla mnie księgą otwartą — moje dla ciebie nieznaną ciemnią szatańską. Otworzę więc je sama przed sędzią niesprawiedliwym, który nie zdołał dotąd go zrozumieć! O Boże! czemuż ci tego nie dano?!... Gdyś składał złowrogie śluby owe, nabożny podziw i ciekawość poziomą przywiodły mnie do ołtarza, przy którym klęczałeś. A kiedym twarz twą zobaczyła, piękną przedziwnie w swem przebóstwieniu ofiarnem, gdym twe królewsko-dumne źrenice po raz ostatni ujrzała otwarte, — w duszy mojej powstało niezmierne uwielbienie, rajskiej wonności przeczystych lilij podobne — niewinny, łzawy hołd święty, jak święte chęci były, wiodące cię ku ofierze. Gdy na oczy twoje opadły straszne powieki, jęk mój bolesny przeszył pierś tłumu narówni z kaźnią twoją. I od tej chwili nie zaznałam już nigdy spokoju i pogody. W dzienne i nocne godziny męczeństwo twoje rwało mi serce na strzępy. Płynęły wieści z klasztoru o twem anielskiem poddaniu się ofierze, o rajskich twych widzeniach, o krótkim śnie dziennym, gdy jako dziecię niewinne marzyłeś z uśmiechem na ustach. Opowiadano mi, jak błądzisz w nocnych godzinach w cieniach drzew klasztornych, śpiewając hymny, oddany rozmyślaniom... W tej męce żalu nad tobą — pragnęłam nieraz podzielać twoje katusze. Zamknąwszy się u siebie, długie godziny spędzałam ze zwartą, jako twoja, źrenicą. I wówczas mi się zdawało, że pogrzebano mnie za życia! Z krzykiem szału dzikiego otwierałam znów oczy, a dusza moja objąć nie była w stanie bezmiaru twojej męczarni!.. Wówczas do ksiąg się świętych uciekałam, szukając opamiętania i pociechy. Lecz słowa tych wybrańców, których okrutne nauki i przykłady wstrząsnęły duszą twoją i w otchłań męki cię popchnęły, sprawiły mi tylko boleść śmiertelną, a nigdy głosem prawdy nie przemówiły do mego ducha!.. Więc biegłam do stóp samego Pana po prawdę i natchnienie.

(D. n.).

ściem byłoby wzajemne porozumienie się i postawienie wspólnych polskich kandydatów i takich, którzy rozumieją po polsku.

Pamiętajmy, że tak mówi organ centrowy, który jest najobjektywniejszym w ocenianiu stosunków polskich. Inne pisma centrowe przyjęły wiadomość o Towarzystwie wyborczem, jako zamach prowokacyjny na niemiecki „stan posiadania." Takie stanowisko zresztą zajmuje w danej chwili olbrzymia większość centrowców — zwłaszcza księży, tych najzawziętszych germanizatorów na Śląsku Górnym.

Świeżo jeden z takich księży, niejaki Rassek, z Komornik, w powiecie Prudnickim, wydał ciekawą broszurę niemiecką p. t. „Dlaczego pewna część duchowieństwa górnośląskiego udziela nauki przygotowawczej do spowiedzi i komunii św. w języku niemieckim." Pan ten, zarobkujący w czysto polskiej parafii, oświadcza prosto z mostu, że germanizacya przez kościół jest najzupełniej słuszna. Występuje on jako stróż i obrońca powagi szkoły pruskiej, której nic nie ma do zarzucenia. Jego zdaniem kapłan, udzielający nauki przygotowawczej po polsku, podkopuje powagę szkoły pruskiej, która uczy po niemiecku, dyskredytuje nauczycieli, starających się, aby nauka niemiecka przenikała serca i dusze dzieci polskich. P. Rassek twierdzi, że germanizacya jest największem dobrodziejstwem ludu śląskiego, którego język, jak utrzymuje, nie ma nic wspólnego z literackim językiem polskim. Ks. Rassek powiada, że Polacy, ucząc się religii po polsku, popadają w moralne zaniedbanie, gdy wyjdą w strony niemieckie na robotę, a od tego moralnego zaniedbania może ich ochronić tylko niemczyzna przy nauce religii.

Broszura p. Rasseka narobiła dużo hałasu i wywołała wielkie oburzenie. Nawet klerykalny *Kuryer Poznański* powiada, że jedna taka broszura więcej się przysłuży naszej polskiej sprawie narodowej na Górnym Śląsku, aniżeli dziesięć wieców z artykułami dziennikarskimi, bo ludowi otworzy oczy na to, co się dzieje, na to, do czego niektórzy księża u nas dążą."

A jednak tak „katolikowcy," jak i Koło polskie w dalszym ciągu wysługują się księżom germanizatorom, zyskując w zamian pobłażliwość centrum, która im pomaga tyle, co umarłemu kadzidło. Oto świeżo mieliśmy znowu dowód tego. Sprawa Hoffmana, o której już pisaliśmy, ogromnie wzburzyła całą opinię publiczną w Niemczech i interpelacya polska, wniesiona w tej sprawie przez Koło, byłaby zrobiła bardzo wielkie wrażenie. Istotnie, Koło ułożyło interpelacyę i poczęło zbierać wśród centrowców podpisy pod nią. Centrowcy dali swe podpisy, ale zażądali, aby Koło nieco zaczekało z jej wniesieniem, gdyż na porządku dziennym znajduje się ważniejsza sprawa— ogłodzenia ludności pracującej za pomocą podwyższenia ceł. Koło naturalnie postanowiło czekać, bo przecież i junkrów polskich obchodzi daleko mocniej sprawa ceł, niż zakucie w kajdany razem z kryminalistą jakiegoś tam gryzipiórka od *Górnoślązaka*. Tymczasem sprawa Hoffmana i bez przyczynienia się Koła weszła na porządek dzienny: posłowie socyalistyczni wyzyskali ją z właściwą sobie zręcznością. Posłowie z Koła jeszcze raz znaleźli się dzięki centrowcom w bardzo głupiem położeniu: Niemcy bronili ich rodaka i za gwałt, popełniony na nim, smagali rząd niemiłosiernie, a tymczasem posłowie polscy milczeli... aby nie zepsuć efektu swych przemów po wniesieniu interpelacyi.

Wnieśli wreszcie niefortunni „kolarze" swą mdłą i płaczliwą interpelacyę, ale kiedy marszałek oświadczył interpelantom, że rząd, nie mając pod ręką potrzebnych materyałów, nie może dać natychmiast odpowiedzi, grzeczni członkowie Koła interpelacyę... cofnęli i zgodzili się na odroczenie jej do chwili, dla rządu dogodniejszej. Czy to nie komedya! Cóż więc dziwnego, że szersze masy ludności polskiej poczynają czuć dla Koła coraz większą pogardę, co zapewne podczas zbliżających się wyborów da mu się odczuć boleśnie.

Ostatnie, dopiero co zakończone wybory do rady miejskiej w Poznaniu, przyniosły powiększenie liczby radnych - Polaków o trzech. Obecnie więc na 60 radnych w poznańskiej radzie miejskiej będzie zasiadać 14 Polaków zamiast 11, jak to było dotychczas. W stosunku do przewagi liczebnej ludności polskiej w Poznaniu cyfra to bardzo nikła, lecz z winy pruskiego systemu wyborczego. W każdym razie zdobycie trzech nowych mandatów świadczy o postępującym wciąż procesie polszczenia się stolicy nad Wartą.

Pośrednik.

Z Cesarstwa.

Rada nadzwyczajna przy ministeryum skarbu dla spraw przemysłu metalurgicznego. — Samorząd miejski w Moskwie i Petersburgu i p. Baliński. — „Chitrowcy" moskiewscy. — List hr. Bobrinskiej.

Przemysł metalurgiczny w państwie rosyjskiem przechodzi niewątpliwie kryzys; nadprodukcya na tem polu wywołuje przesilenie, znajdujące wyraz w zmniejszeniu dotychczasowej wytwórczości, zamknięciu mniej odpornych fabryk i uwolnieniu od pracy dość wielkiej liczby robotników. Tak np. dla hut i fabryk Rosyi południowej przesilenie to określa się następnemi cyframi: w pierwszej połowie roku bieżącego, w porównaniu do pierwszej połowy 1901 r., produkcya surowca na wymienionym obszarze zmniejszyła się o 450,000 pudów, żelaza i stali o 2,770,000 p.; z ogólnej liczby 56 hut — tylko 26 było w ruchu 1 lipca r. b.; ogólna liczba robotników zmniejszona została z 51 tys. do 44 tys. Te i tym podobne cyfry musiały zwrócić uwagę strony interesowanej i sfer decydujących, które też zarządziły zwołanie rady nadzwyczajnej przy ministeryum skarbu.

Przesilenie obecne jest w znacznej części skutkiem ogólnej polityki protekcyjnej, uprawianej przez ministeryum skarbu. Polityka ta, w myśl swych zwolenników, miała na celu wzmocnienie przemysłu miejscowego w jego walce z zagranicą, stworzenie wewnątrz państwa zdrowej konkurencyi, a co za tem idzie — i zniżki cen. W ten sposób kilka lub nawet kilkanaście lat ofiar, ponoszonych przez ogół odbiorców, miały być sowicie wynagrodzone przez spodziewaną taniość wytworu i jego rozpowszechnienie wśród mas. Smutna rzeczywistość rozwiała jednak te idylliczne marzenia. Przemysł krajowy nie wzmocnił się bynajmniej, lecz przeciwnie, błaga o pomoc; współzawodnictwo wewnątrz państwa nie ma zdrowych warunków rozwoju, a o tanim produkcie po dawnemu nie może być mowy... W jaki sposób usunąć nadprodukcyę? Sprawa ta może mieć dwa rozwiązania: zmniejszenie wytwórczości lub rozszerzenie pola zbytu. Nietrudno chyba odgadnąć, że przedstawiciele „protegowanego" przemysłu wybrali pierwszy sposób, co przyszło tem łatwiej, że na krótko przed zwołaniem Rady nadzwyczajnej ci sami przemysłowcy założyli syndykat w formie „Towarzystwa akcyjnego dla sprzedaży wytworów rosyjskich zakładów metalurgicznych." Zmniejszenie produkcyi wobec istnienia podobnego syndykatu musi nieodzownie sprowadzić podniesienie się cen, bo przecież trzeba czemś opłacić zamknięcie mniejszych zakładów lub odpowiednie zmniejszenie produkcyi wszystkich fabryk i hut, należących do syndykatu. Pomoc, o którą błagają państwo przedstawiciele przemysłu, ma się zawierać w dawaniu nadal obstalunków skarbowych i, co najważniejsza, po cenach naprzód ustalonych. System cen stałych na obstalunki skarbowe, uniemożliwiający wszelką konkurencyę na danem polu, zostaje jednak przedłużony jeszcze na trzy lata. Aby uprzytomnić sobie znaczenie tego „ustalenia" cen, dość zapoznać się z ciekawem odkryciem, zrobionem przez gazetę *Uralskaja Żizń*: Cenniki firm uralskich, podając cenę belek metalicznych na 85 kop., drukują najwyraźniej, że pud szyn kolejowych dla skarbu (*sic!*) kosztuje 1 rb. 25 kop. *). W ten sposób skarb państwa wypłacał przemysłowcom rocznie około $7\frac{1}{2}$ milionów rubli nadwyżki przy ogólnej sumie obstalunku na szyny — 19 milionów pudów. Wiadomo, że *l'appetit vient en mangeant*— otóż przemysłowcom tak przypadło do gustu ustalenie cen na szyny kolejowe, wagony i lokomotywy, że pragną jego rozszerzenia i na wszelkie inne dodatki kolejowe. Postanowiono już, że zakłady metalurgiczne w ciągu trzech najbliższych lat dostaną od skarbu obstalunki na 19 milionów pudów szyn, 2,200 wagonów i 1,150 lokomotyw rocznie. Gdybyż przynajmniej te obstalunki były rozdzielone między wszystkie zakłady metalurgiczne! Otóż właśnie przedstawiciele fabryk, niemających udziału w dostawach skarbowych, zwracali słuszną uwagę Rady nadzwyczajnej, że skarb, oddając obstalunki pewnej tylko części fabryk, po cenach z góry ustalonych, stawia je przez to w położeniu uprzywilejowanem. Mając bowiem zapewniony zbyt dla pewnej części swej produkcyi, fabryki te mogą ...iżać znacznie cenę w stosunkach z odbiorcami prywatnymi, a protekcya wewnątrz państwa uniemożliwia współzawodnictwo. Jedynem lekarstwem — zdaniem fabrykantów, niebiorących udziału w dostawach skarbowych — byłoby zastosowanie w tej dziedzinie zasady wolnej konkurencyi, co bez wątpienia byłoby korzystnem i dla skarbu.

Co do nas jednak, to ośmielamy się powątpiewać, czy przez omawianą zmianę dałaby się osiągnąć skuteczna i trwała poprawa stosunków w przemyśle metalurgicznym. Najbliższe trzy lata— to ostatnia podobno próba ze strony ministeryum podtrzymania chwiejącego się przemysłu za pomocą obstalunków skarbowych. A co potem? Co uczynią przemysłowcy, przyzwyczajeni do protekcyi i niemający odbiorcy prywatnego? Zdawałoby się, że skuteczniejszym środkiem uzdrowienia tych stosunków byłoby rozszerzenie wewnętrznego, prywatnego pola zbytu, podniesienie ekonomiczne najliczniejszej części ludności w państwie i przystosowanie wytwórczości zakładów metalurgicznych do potrzeb tej mianowicie części mieszkańców. Możeby produkcya ćwieka okazała się korzystniejszą dla wytwórczości, niż wyrabianie szyny kolejowej — chodzi jednak o stworzenie takich warunków, by kupno ćwieka nie było niedościgniony idealem dla bardzo licznych mas ludności.

Przemysłowców metalurgicznych obchodzi niewątpliwie wynik toczącego się obecnie sporu między municypalnościami Petersburga i Moskwy z jednej strony a niejakim p. Balinskim z drugiej. Tramwaje miejskie w Moskwie i Petersburgu dopiero od niedawna przeszły na własność miast, a jednak już obecnie zagraża miastom strata tego poważnego źródła dochodu. Ów p. Baliński (inżenier cywilny) zaproponował bezpośrednio rządowi, z pominięciem sa-

*) Zauważyć należy, że obecne ceny dla ogółu odbiorców (nie dla skarbu) nie są bynajmniej niższe od zagranicznych.

morządów miejskich, wybudowanie sposobem koncesyjnym t. zw. *metropolitain*'ów w obu stolicach, zobowiązując się używać przy budowie materyałów i wyrobów tylko „krajowego pochodzenia,“ a jako warunek koncesyi stawia wymaganie, by istniejące tramwaje przeszły na cały czas koncesyi (80 kilka lat) w posiadanie towarzystwa *metropolitain*'ów. Dla miast projekt p. Balińskiego jest stanowczo niekorzystny, gdyż jego urzeczywistnienie przyprawiłoby je o niepowetowane straty. Przedstawiciele samorządu Moskwy uzasadnili szczegółowo swój pogląd na cały ten projekt w komisyi, utworzonej w Petersburgu dla jego oceny. Ogólny charakter i szczegóły techniczne projektu są, ich zdaniem, tak wadliwe, „że jego uskutecznienie pociągnęłoby za sobą pogorszenie warunków zdrowotnych w mieście i stałoby się dla ludności źródłem strat materyalnych i duchowych. Lecz niezależnie od strat wszelkich, sprawa ta posiada jeszcze znaczenie zasadnicze. Przedstawiciele samorządu miejskiego Moskwy i Petersburga skarżą się słusznie na uwłaczający samej zasadzie samorządu sposób działania p. Balińskiego. Wprawdzie rady miejskie, złożone z przedstawicieli ludności bogatszej, nie uwzględniały dostatecznie interesów warstw szerszych, w każdym jednak razie zastosowanie systemu koncesyjnego w gospodarce miejskiej niejednokrotnie i najsłuszniej zostało potępione przez ministeryum spraw wewnętrznych, a przytem samorząd ma przecie prawo wymagać, by bez jego wiedzy i zgody nie rozstrzygała się tak ważna dla miasta sprawa. Trudno z pewnością przesądzać, kto zwycięży w tej walce. Zdawałoby się, że wszelkie racye mają za sobą samorządy, lecz — za p. Balińskim stoi podobno miliarder amerykański, Werner. Właściwa droga do ulepszenia komunikacyi miejskiej prowadzi jednak nie przez koncesye, wydawane za plecami samorządu, lecz przez reformy składu miejskich „dum“ w duchu zupełniejszego przedstawicielstwa wszystkich warstw ludności.

Do spraw, na które powinna być zwrócona szczególnie uwaga wszelkich „ojców“ miasta, należy położenie „wykolejonych,“ tj. tej warstwy miejskiej, która pod wszystkimi względami stoi niżej od właściwej warstwy robotniczej. Ludzie ci w różnych miastach noszą różne nazwy: w Moskwie nazywają ich „chitrowcami“ (od rynku Chitrowa, na którym się zbierają i mieszkają), w miastach nadwołżańskich „gałachami,“ w Odesie—„bosiakami,“ w Taganrogu — „faraonami“ itd.; z pośród nich rekrutują się wyrobnicy dzienni, niewykwalifikowani robotnicy, tragarze, złodzieje, włamywacze, prostytutki najniższego rzędu itd. Nędza, zbrodnia, głód, kryminał — oto ich żywioł, przedstawiają słowem ponury obraz nędzy i rozpaczy. Są wśród nich tacy, dla których kradzież stała się już rzemiosłem, lecz są inni, kradnący tylko z braku wszelkich źródeł zarobku.

Grono kobiet „dobrej woli“ w Moskwie zajęło się urządzaniem odczytów i zabaw dla kobiecej ludności robotniczej w dzielnicach fabrycznych miasta. Gdy kolej przyszła i na rynek Chitrowa, ludzie, którzy przyszli tu bawić jego mieszkanki, uczuli mimowolny wstyd. W liście do dziennika *Russkija Wiedomosti* jedna z najenergiczniejszych współpracowniczek tego grona kobiet, hrabina Barbara Bobrinskaja, w następujących wyrazach maluje wrażenie, jakiego doznała, zetknąwszy się z obywatelkami rynku Chitrowa: „Mając dotąd do czynienia wyłącznie z klasą robotniczą (robotnicami fabrycznemi lub rzemieślniczkami), miałyśmy i o rynku Chitrowym mniej więcej podobne wyobrażenie, i dlatego, rozpoczynając zajęcia wieczorne dla tej ludności, ułożyłyśmy taki sam program, jaki stosujemy od paru lat z powodzeniem w dzielnicach fabrycznych. Przyszłyśmy ich bawić... Lecz ujrzawszy dopiero tę nędzę, uczułyśmy całą niestosowność naszych zamiarów. Przyjęły nas radośnie, ale w ich oczach widziałyśmy nie żądzę zabaw, lecz błaganie o chleb. Smutne, głodne, przygnębione upokorzeniami, których doświadczyły, stały one przed nami, oczekując pracy i zarobku, a żadna z nas nie miała odwagi powiedzieć, że przyszłyśmy, by dać im rozrywkę umysłową. Urąganiem tej nędzy wydały się nam wszystkie nasze szlachetne i wysokie pobudki. Pracy, pracy, pracy—oto czego błagają ci ludzie. Na rynku Chitrowa znajduje przytułek ta nadmierna, wykolejona część ludności, której istnienie samo przez się już jest targnięciem się na spokój warstw innych. Nie poprawy moralnej trzeba mieszkańcom tego rynku, lecz chleba! Jeśli nie możemy dostarczyć wszystkim dostatecznego zarobku, to przynajmniej nie powinniśmy odbierać głodnemu ostatniego sposobu wyżywienia się, tj. prawa proszenia otwarcie o chleb tych, którzy go mają. Nie wolno prosić o jałmużnę pod karą więzienia, lecz niema sposobu znalezienia zarobku. Legalne drogi do zadosyćuczynienia potrzebie głodu są zamknięte, cierpienia jego są silne i naglące, i oto wyrzuceni ze społeczności wstępują na sromotne drogi: młode kobiety handlują ciałem, starsze przez upokorzenia wypraszają grosze, mężczyźni uciekają się do kradzieży. Głód, to najsilniejsze prawo na świecie, i dlatego odpowiedzialność za nielegalne postępowanie głodnych leży nie na nich samych, lecz ich sytem otoczeniu. Jakąż obłudą brzmią kazania nasze o cnotach i moralności, gdy istnieje tylko jedna różnica między nami: oni są głodni, my—syci! Pracy, pracy dla chleba — oto czego prosi i potrzebuje ta nędza, i przed tą naglącą potrzebą wszystko inne już wygląda na obłudę. Wszyscyśmy obłudnicy, dopóki obok sytego stoi głodny, któremu nie przyznaje się prawa istnienia i od którego wymaga się tylko pokornej śmierci. Praca tu jest loteryą: kto szczęśliwego losu nie wyciągnął, ten nie ma prawa istnienia: on — już nie jest człowiekiem, on — to istota, którą bezkarnie wolno krzywdzić i upokarzać; pędzi się go z jednego miejsca kary do drugiego, jak gdyby miał możność stworzenia sobie pracy, dającej mu jedynie w oczach innych ludzi prawo obywatelstwa. Chrystus przychodził na ziemię i dał nam przykazanie miłości, a my, obłudnie oburzając się na złe, zrodzone przez nędzę, oddajemy naszych braci na rozpustę i zgubę.“

A. Z—a.

Listy z Ameryki.

Nowy-York, 28 listopada.

Zapełniając ostatnią moją korespondencyę cyframi, dotyczącemi ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych, miałam głównie na względzie przygotowanie tła dla sprawy, do której omówienia przystępuję obecnie. Sprawa to, jak sądzę, niezmiernie ważna. Zastanawiałam się nawet długo, czy należy lub nie, poddać ją pod rozwagę ogółu, aby nieopatrznem słowem nie pobudzić przedwcześnie do czynu jednostek dobrej woli i zbyt gorącego temperamentu. Zastrzegam się przeto: co powiem, nie będzie wytworem pogłębionego doświadczenia, lecz pobudką do głębszej dyskusyi na ten temat.

Z zestawień sumarycznych ogólnego wychodźtwa do St. Zjednoczonych widocznem jest, że podczas gdy ilość wychodźców z Anglii, Irlandyi, Szwecyi, Norwegii zmniejsza się, wychodźtwo Słowian wogóle, a Polaków w szczególności wzrasta z każdym rokiem. Nie wchodzę w przyczyny tego zjawiska, stwierdzam sam fakt. Jest to objaw społeczno-ewolucyjny, którego nic nie wstrzyma i który w naszych stosunkach dalekim jest jeszcze od swego maximum. Wobec zaś ważności zjawiska nie należy nam zachowywać się biernie, winniśmy fakt rozważyć, dodatnie i ujemne jego strony zaznaczyć, złe lub dobre następstwa przewidzieć, aby te siły, jakie tracimy w kraju, zachowały się na jak największy pożytek za oceanem. Tak czynią Niemcy, tak Hiszpanie i Francuzi, tak zresztą potrosze i Polacy. W działalności tej jednak pominiętą jest jedna ważna sprawa, mianowicie: jakości środków dla podniesienia intelektualnego poziomu społeczeństwa polskiego w Ameryce. Wychodźtwo polskie, jak to zresztą każdemu wiadomo, składa się głównie z rolników, rzemieślników i przemysłowców. Ludzie ci, z natury rzeczy nie przynoszą z sobą tego rodzaju zasobów kulturalnych, któreby mogły dostarczać impulsów do wytworzenia wszechstronnego, a więc zarówno ekonomicznego, jak etycznego i intelektualnego postępu. Niema bowiem pośród nich ani pedagogów i nauczycieli, ani socyologów i przyrodników, ani literatów i artystów — słowem, niema ludzi o wyższej kulturze umysłowej. A ci, co są może, przedstawiają tak małą garstkę i są tak rozproszeni po dużych miastach amerykańskich, że nawet pomimo usiłowań nic zdziałać nie potrafią. Powstają z tego powodu anachronizmy tego rodzaju, jak np. utworzenie Towarzystwa oświaty, posiadającego pareset książek, jedno pismo (*Tygodnik Ilustrowany*) i bogaty program o desideratach tego rodzaju, jak: wykłady, pogadanki itp. W samym tym anachronizmie jednak tkwi wzruszająca do głębi siła. Ci ludzie, którym trudy ciężkiej, fizycznej pracy pozostawiają zaledwie nieliczne chwile wypoczynku, grupują się, przyjmując za hasło swego zespolenia wyraz „oświata.“ Wyraz, bo pod nim niema dotąd nic, prócz dobrych chęci, oraz instynktowego odczucia swych potrzeb. Hasło to wyrywa się z serc i głów garstki ludzi, wołających: dość nam tych mroków, dość tego szukania po omacku — chcemy światła — chcemy oświaty! I oto jak powstało Towarzystwo oświaty w Nowym Yorku. Jest to wspaniała manifestacya ducha, który w prostocie swych dążeń i uczuć zapomina o środkach i trudnościach istnienia takiej instytucyi i daje impuls do wzniesienia budowy, dla której urzeczywistnienia niema ani cegieł, ani cementu, nic, prócz przeświadczania o potrzebie i pożytku. Ale w ten sposób manifestuje się każda siła żywiołowa; rozum ludzki polega na jej opanowaniu i zastosowaniu do potrzeb życia.

W tym to dziejowym momencie rozwoju społeczeństwa polskiego w Ameryce tkwi jedno z najważniejszych pytań doby dzisiejszej: jakie środki, wobec wyjątkowego stanowiska wychodźtwa polskiego, są możliwe dla podniesienia jego poziomu intelektualnego? *Ex nihilo nihil*: a jednak położenie nasze w Ameryce jest tego rodzaju, że albo siłą woli i z pomocą braci z za oceanu wytworzymy to, co jest niezbędne dla utrzymania polskości, lub też zlejemy się na zawsze z żywiołem amerykańskim. Dzieje się to już dzisiaj w miejscowościach, gdzie Polacy należą do znacznej mniejszości. Naturalną jest bowiem rzeczą, że dzieci polskie w szkole amerykańskiej, rozwijając się w otoczeniu tubylców, muszą powoli duchem oddalać się od pnia, z którego wyszły. Ale dziś jeszcze tkwi pośród tej dziatwy tyle przywiązania i tyle tęsknoty do tego, co w duszach ich ojców i matek przywędrowało z za morza, że potrzeba tylko odrobiny wpływu i konsekwentnej organizacyi, aby wytworzyć własne ogniska... zbliżać... kojarzyć... łączyć. Ludności bowiem polskiej przyznać należy tę wielką zaletę, że zdala od kraju lgnie do siebie,

przełamując najrozmaitsze trudności, aby tylko być bliżej swoich. Spotykam dość często polskie rodziny, które przesiedlają się z Bostonu do Nowego Yorku dlatego tylko, że tu jest więcej Polaków. Mówiono mi też, że Polacy z różnych stanów zjeżdżają do Chicago i Newarki, tych dwóch głównych ognisk polskości. W Brooklinie zaś pod Nowym Yorkiem, w New Jersey, także w New Yorku, zajmują oni wyosobnione dzielnice, których środowiskiem jest zazwyczaj kościół albo polskie stowarzyszenia. Gdy się dostaniesz do takiej dzielnicy, wszystko dokoła mówi po polsku. Aby się o tem przekonać, pytam często o drogę w polskim języku i otrzymuję zazwyczaj polską odpowiedź i objaśnienia. A w tych objaśnieniach zaczepia się bezwiednie o rzeczy dalsze, jak gdyby z umysłu, aby przedłużyć gawędę. „A skąd pani? A czy na długo?“ itp. Ta tęsknota do wszystkiego, co swoje, wyziera z oczu, drga w głosie, uplastycznia się ruchem.

Gdyby było komu podtrzymywać owo pojęcie łączności z jednej strony, owo odczucie i pożytek oświaty z drugiej — praca ta mogłaby osiągnąć nieprzewidziane dziś w swych skutkach rezultaty.

Pośrednictwa tego mogłyby się podjąć jedynie polskie szkoły i polskie stowarzyszenia. Mamy wprawdzie jedne i drugie, ale jak stowarzyszenia zamiast czynu mają często tylko hasła, tak znów szkoły polskie nie stoją na takim poziomie, jak amerykańskie i muszą skutkiem tego odstręczać. Brak nam dobrych nauczycieli języka polskiego, historyi i literatury, brak mówców i socyologów, brak ludzi wykształconych, literatów i artystów.

Najprostszą, zdawałoby się, wobec tego radą byłoby zachęcać ludzi średniego przynajmniej wykształcenia, do wychodźtwa do Ameryki. Takie jednak postawienie sprawy byłoby najzupełniej błędnem, a nawet w swoich skutkach szkodliwem. Człowiek pracy fizycznej, po krócej lub dłużej trwających trudach, znajduje sobie zajęcie i przy jakiej takiej wytrwałości dorabia się grosza, który starczy na utrzymanie własne i rodziny. Człowiek inteligentny w 99 przypadkach na sto po długiem szukaniu wraca do kraju, lub chwyta się pracy fizycznej. Wyjątek stanowią osoby protegowane, zasłużone lub reklamowane. To też spotyka się często w dziennikach doniesienia: „doktór, szukający napróżno pracy... odebrał sobie życie“; „młody człowiek, który skończył studya w uniwersytecie Columbia, po długiej walce o byt, nie otrzymawszy posady, rzucił się w fale morza“ itp. Taką jest aktualność. Niema w tem żadnej przesady.

Jakże przeto pogodzić te dwie ewentualności? Z jednej strony potrzebę pobudzenia emigracyi pracowników mózgu *) do Ameryki, z drugiej niemożność zapewnienia im losu. Otóż zdaje mi się, że drogą zobopólnego porozumienia możnaby temu zaradzić. Gdyby np. zawiązały się biura wywiadowcze **)—jedno w kraju, drugie w Nowym Yorku — które wzięłyby na siebie z jednej strony wybór osób wyższego wykształcenia i opiekę nad wysłanymi do St. Zjednoczonych, z drugiej — dostarczenie potrzebnych objaśnień i ułatwień, możnaby działalnością tą goić równocześnie dwie otwarte rany: nadmiar ludzi średnio wykształconych w kraju i brak ich zupełny w społeczeństwie polskiem w Ameryce.

Ale aby myśl ta weszła w życie, potrzeba trzech rzeczy: ofiarności, odwagi i umiłowania ideału. Dziś czas na to... jutro będzie za późno.

A. W.

*) Jest to nazwa przyjęta w Ameryce dla ludzi zajmujących się pracą umysłową. Istnieją nawet stowarzyszenia pod nazwą „Association of brain workers.“

**) Życzeniu powyższemu korespondentki naszej już poczęści stało się zadość. Bawi obecnie w Ameryce poseł galicyjski do parlamentu wiedeńskiego, p. Stapiński, który przedsiewziął tę podróż w celu zbadania na miejscu warunków wychodźtwa polskiego, uregulowania go, nawiązania stosunków z emigrantami i ułatwienia im powrotu do kraju rodzinnego. W tym celu poseł Stapiński zamierza starać się o doprowadzenie do skutku dwu konsulatów amerykańskich we Lwowie i w Krakowie dla załatwiania na miejscu spraw handlowych i emigracyjnych. (*Przyp. Red.*).



LIBERUM VETO.

Zestawienia historyczne.

„A w ich poselskiem kole, o Boże mój, jakie tam wstydu godne postępki! Jakie swary, zwady i wrzaski, broni dobywania między nimi bywają... Boże, aby była poprawa!“ I poszedł ten gromowy głos Piotra Skargi daleko w czas i szeroko w przestrzeń. Przelewał on się ciągle w potępienia, żale i przestrogi współczesnych ratowników społeczeństwa i późniejszych jego sędziów, odbijał się złowrogiem echem wszędzie, gdzie tylko o wichurach sejmów polskich wiedziano i mówiono. Stały się one pośmiewiskiem miłośników „prawidłowego rozwoju,“ straszydłem „czcicieli porządku,“ przedmiotem najgłębszej odrazy dla „rozumu stanu poważnych statystów.“ Uznaliśmy sami i potwierdziły ten sąd inne ludy, które nie „stały nierządem“ i nie runęły w przepaść, że byliśmy zdolni zaledwie do tumultów zbiorowych, do kłótni i bijatyk pijackiej, dzikiej i rozkiełznanej hordy, która nie umiała uszanować żadnego ładu, żadnego prawa i gotowa była mieczem jednego szalonego lub najętego warchoła porąbać pracę ustawodawczą całego narodu. Dawne sejmy i sejmiki polskie weszły w ogólną pogardę i ogólne przysłowie, które dotąd my sami powtarzamy z szubienicznym humorem. A jeżeli nawet między badaczami przeszłości znalazł się o tyle sprawiedliwy, bezstronny, czy też miłosierny, że chciał złagodzić ten potępiający wyrok, jakże to czynił ostrożnie i lękliwie! Bo od tego uprawomocnionego wyroku nie było apelacyi ani do rozumu, ani do uczucia. Wykonywając go ściśle, wyciągaliśmy co pewien czas naszych przodków z trumien i sprawialiśmy im bezlitosną chłostę.

I oto od lat kilku nasza surowość zmiękła, a ręka podniesiona do uderzeń stężała. Zaczęliśmy przypatrywać się widokom parlamentaryzmu europejskiego i spostrzegliśmy ze zdumieniem, że te „ucywilizowane“ narody w XX wieku nie zdobyły się na nic lepszego, a zdobyły się na wiele gorszych rzeczy, niż nasz „barbarzyński“ przed 400 laty. Porównywając te obrazy tak odległych czasów i tak odmiennych kultur, zapytujemy siebie zdziwieni i rozżaleni: dlaczego myśmy tyle złorzeczeń rzucili na naszą przeszłość i dlaczego tak zniesławiliśmy naszych krewkich i nieopatrznych przodków? Bo zastanówmy się tylko uważnie...

Na dawnych sejmikach polskich magnaci zjednywali sobie popleczników zapomocą datków i ugoszczeń. Ich agenci rozdawali pieniądze, zastawiali suto stoły i obficie rozlewali wino. Co się teraz dzieje na zebraniach przedwyborczych? Pominąwszy nieliczne okręgi, gdzie lud nie da się niczem odciągnąć od swoich trybunów, przeważnie głosy zdobywane są albo karmieniem i pojeniem, albo łapówkami, albo groźbą. W Anglii, w klasycznym kraju życia konstytucyjnego, uzyskanie mandatu kosztuje nieraz posła do 5,000 funt. sterl. Na kilka miesięcy przed terminem objeżdża okolicę gromada faktorów, na kilka dni przedtem całe stada wołów i baranów, całe kufy piwa opłacają tłumowi jego względy dla kandydata. To samo we Francyi, gdzie „przedstawiciele narodu“ dają mu setki tysięcy franków za tę godność. To samo we Włoszech, Austryi, Niemczech, gdzie nadto nacisk władz lub pracodawców gwałci wolę urzędników i najmitów. Dawne sejmiki polskie wrzały kłótnią, w której czasem i szable udział brały. Czytajcie tegoczesne plakaty wyborcze, artykuły dziennikarskie, mowy na zgromadzeniach: ile tylko potwarz może skłamać i wykręcić prawdę, tyle w nich dokonywa. I chociażby przeciwnik był archaniołem, stróżem wrót nieba, obciążony w nich będzie wszystkiemi zbrodniami piekła. Naturalnie wrogie partye przy starciach często mierzą wytrzymałość swych grzbietów kijami.

Dawni deputaci polscy mieli uledz zupełnemu zanikowi poczucia interesów całego narodu, bo w „instrukcye“ kładziono im tylko interes magnata lub prowincyi. A dzisiejsi posłowie europejscy? Otrzymują wyraźny nakaz, ażeby zapomnieli zupełnie o narodzie i pamiętali jedynie o swym okręgu wyborczym, o swem stronnictwie lub stanie. Miliony biedaków w Niemczech nie mają za co kupić sobie drogiego chleba, pomimo to większość parlamentarna przeprowadza znaczną podwyżkę ceł na zboże, przyczem ustawodawcy baczą tylko na to, czy nowa taryfa dogodzi chłopom bawarskim, górnikom westfalskim lub kupcom hamburskim. Dawniej u nas osią obrad sejmowych był egoizm Branickich, Radziwiłłów, Potockich, Sandomierzan lub Płoczczan; dziś w kulturalnem państwie — egoizm Kruppów, Kardorffów, Limburg-Stirumów, Sasów, Brandeburgczyków, rolników lub przemysłowców. Wobec tego samolubstwa maleją lub nikną najsłuszniejsze prawa i potrzeby innych ludzi, innych ziem, innych warstw społecznych. Niech zdychają, niech giną z nędzy i choroby, niech ich strawi najokrutniejsza niedola — to przeciwników tylko ubawi.

Obrady sejmowe w dawnej Polsce były bardzo burzliwe: padały w nich słowa ostre, raniące, chociaż rzadko błotne i wymierzone przeciw osobistej czci walczących. Samą przytem Izbę poselską uważano za miejsce poświęcone i szanowane, za bliższe kościoła, niż karczmy. A czy pamiętacie wszystkie burdy, jakie wybuchały w obecnych parlamentach europejskich? Zdaje się, że w nich niczego nie brakło, co należy do arsenału, taktyki i celów najordynarniejszego brutalstwa i najniższych instynktów. „Przedstawiciele narodu“ nazywali się wzajemnie: zbrodniarzami, rzezimieszkami, łajdakami, szpiegami, oszustami itd., bili się po twarzach i opluwali, powalali się na ziemię i deptali, znieważali czynnie prezydenta i ministrów, łamali krzesła, ściągali mówców z trybuny, piekielnym wrzaskiem i stukotem uniemożliwiali obrady, wyłączano ich z posiedzeń, wyrzucano za drzwi — i to w najoświeceńszych krajach, w Anglii, Francyi, Niemczech, Austryi, Włoszech. Nawet w najbardziej zwichrzonych sejmach polskich podczas XVII wieku nie było ani jednej tak ohydnej sceny. Zarzucano im dopuszczenie t. zw. „arbitrów,“ publiczności do udziału w obradach i oddziaływanie na ich bieg krzykami. Ileż razy w dzisiejszych parlamentach europejskich przewodniczący nakazuje „opróżnić galerye,“ zachowujące się hałaśliwiej, niż klaka teatralna! Oskarżano przodków naszych o teroryzowanie strony słabszej, o łamanie prawa i targanie porządku obrad. Czy w całej historyi polskiej można znaleźć podobny akt gwałtu, jaki się obecnie dokonał w parlamencie niemieckim? Większość chcąc prze-

przeć korzystną dla rolników a szkodliwą dla niższych warstw ludności taryfę celną, pragnąc zapobiedz wszelkiej krytyce a przytem zdusić opozycyę, przeprowadziła uchwałę, uniemożliwiającą rozprawy rzeczowe, zamknęła kilkaset paragrafów ustawy w jednym i ograniczyła mówców do pięciominutowego głosu w kwestyach formalnych. Posłuchajmy znakomitego Niemca, co on sądzi o tym gwałcie: „Znajdujemy się — pisze słynny historyk T. Mommsen — nie przy końcu, lecz na początku zamachu stanu, który cesarza niemieckiego i reprezentacyę narodową poddaje absolutyzmowi junkierstwa sprzymierzonego z klerem. Teraz połączone interesy najniższego gatunku rozstrzygać będą o tem, czy mają być budowane okręty i kanały, oraz w jaki sposób dla dobra rządzących klik wyzyskiwać obywateli i kneblować naukę.“

Sejmy polskie posiadały przeciwko takim zamachom skuteczny środek w *liberum veto*. Nie jest ono wcale naszym wynalazkiem. Używały go zgromadzenia polityczne wieków średnich, tkwi również w konstytucyi angielskiej jako prawo stawiania do nieskończoności wniosków, zapobiegającego najstraszniejszej według Milla tyranii — większości nad mniejszością. Nam tylko dostał się przywilej odbierania urągań za tę „potworność“ parlamentarną. Wartość środka nie mierzy się wartością jego użycia. Z nauki można zrobić narzędzie zbrodni, z cnoty — okrucieństwo, z wolności — samowolę. W istocie swojej, niezależnie od zastosowania praktycznego, *liberum veto* jest jedną z najwspanialszych zasad etyki społecznej i stanowi to wielki dla nas zaszczyt, żeśmy je wprowadzili do naszego życia publicznego. Nie zmniejsza to ani naszej ogólno-ludzkiej zasługi, ani znaczenia samej idei, że ona bywała nieraz nadużywaną — za to zostaliśmy ukarani — i tylko my. A czy nie są winniejsi od naszych przodków z przed 250 laty dzisiejsi użytkownicy tego oręża? Siciński, który wyzyskał *liberum veto* w 1652 r., jest przeklętym upiorem, a obstrukcyoniści z 1902 ryku — nie! Poseł upicki dał zły przykład, bo w ciągu 50 lat zerwano 40 kilka sejmów, trwających zaledwie po 6 tygodni; ale gdy Wszechniemcy lub Czesi targają i rozrywają od wielu lat austryacką Radę państwa — to nie jest grzechem wołającym o pomstę do historyi!

Dawne sejmy polskie miały dosięgnąć szczytów awanturniczości i rozkiełznania, a jednakże uczestniczyli w nich królowie, którym posłowie uroczyście i kornie całowali rękę — nawet rękę Stanisława Augusta! Tymczasem czy w którymkolwiek z dzisiejszych parlamentów europejskich monarcha odważyłby się być obecnym podczas burzliwych obrad, zwłaszcza gdyby posłom pozwolono przypasać karabele? Wątpię.

Nie mogę w ciasnych ramach artykułu rozsnuwać dalej podobieństw i różnic. Przytoczone wystarczą jako dowód i przestroga, że nietylko obcy, ale my sami powinniśmy w sądzeniu osławionych sejmów polskich okazywać więcej rozwagi. Inni dla nas i my dla siebie byliśmy za okrutni i nie podjęliśmy jeszcze nawet takiej obrony naszej przeszłości, jaką wygłosił S. Hüppe, Niemiec, w swej książce, poświęconej... Bismarckowi *). Jeżeli historya nie może się zdobyć na głębokie zrozumienie i bezstronne wytłomaczenie faktów, jeśli ona koniecznie chce być *magistra vitae*, niechże przynajmniej będzie mistrzynią sprawiedliwą. Czy mechanizm parlamentarny w dotychczasowej swojej budowie musi ostatecznie dojść do brutalnej walki interesów, czy on musi zawsze zestarzeć się i rozpaść, czy też jego wynaturzenia są tylko miejscowe i czasowe, w każdym razie jego rozkład nie był wyłączną własnością naszych przodków i nie przybrał u nas najgorszej postaci, a o ile rozkiełznywał namiętności, ma na swoje usprawiedliwienie, że czynił to przed kilkuset laty, nie w świetle obecnej kultury. I kto wie, czy dzisiejsze, tak dumne narody ucywilizowane, w swym rozwoju politycznym nie przechodzą okresu, który my już dawno przebyliśmy!

Poseł Prawdy.

*) *Verfassung der Republik Polen*, 1867.

Ludy płyną...

Na rok przed śmiercią Juliusz Słowacki, któremu polscy demokraci, zebrani w Paryżu, dali do wypicia niejeden kielich goryczy, napisał w swym dzienniku słowa następujące:

Szli krzycząc: Polska! Polska! — Wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzycząc: Boże! ojczyzna! ojczyzna!
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: *jaka?*

Skoro się dziś zawichrzyło w obozie demokratycznym, skoro pewien odłam, przybrawszy sobie szumnie miano demokratów narodowych, rozdaje patenty na polskość lub innym je odbiera, mamy wprost obowiązek zastanowić się nad tem, co oznaczają te dwa złączone z sobą wyrazy i co powinny oznaczać.

Wielkoduszny Marek Aureli powiada, że jego nauczyciel zawsze go ostrzegał, aby nie ufał pochopnie wielkim słowom. Widziałem pod Krakowem karczmę z napisem: Rzym; ale w tym Rzymie zamiast papieża siedział szynkarz. Natomiast we Lwowie około kopca Unii widywano taczkarza, który był prezydentem parlamentu wiedeńskiego. Więc nie każdy Rzym jest Rzymem i nie każdy taczkarz taczkarzem. Tem samem nie każdy narodowiec jest demokratą, nie każdy demokrata narodowcem; nie wystarcza również nazwać siebie narodowym demokratą, ale trzeba nim być.

Wyraz demokracya oznacza: rządy demosu. Niższe warstwy społeczne, doszedłszy do samowiedzy, nazywały siebie stronnictwem demokratycznem. Demokracya naszych romantyków cyrklem swego ducha zatoczyła krąg dokoła całego globu i zrodziła wspaniałą ideę mesyanistyczną, która na wieki będzie pomnikiem humanitarności. Mickiewicz posunął się nawet tak daleko, iż w poetyckiej rozmowie z Bogiem o współziomkach wygłosił „niechaj cierpią i przepadną,“ gdyby się mieli „sprzeciwić“ zasadzie sprawiedliwości. Pisząc, „gwałt niech się gwałtem odciska,“ nigdy jednak haseł inicyatywy nie szerzył. Z platońską zasadą na ustach „lepiej jest niesprawiedliwość cierpieć, niż ją czynić,“ zstępowały do grobu całe pokolenia demokratów, które wielkimi czynami zapełniły karty historyi, a wielkiemi dziełami karty literatury.

Ale co pewien czas niwa myśli europejskiej zieleni się nowością. Szczytne idee demokratyczne naszych romantyków, jak wszelki ideał, nie mogły były przejść do wszystkich serc i do wszystkich umysłów. Ta nowość z Europy płynąca, czy to jako nauka, czy jako hasła społeczne, powodowała zawsze protest. I rzecz szczególna! Nowość naukową sądzono nie ze stanowiska nauki, lecz ze stanowiska narodowego; człowiekowi, który zrozumiał prawo powszechnej ewolucyi i który je popularyzował, mówiono, że nie jest patryotą. Hasła społeczne rozbierano nie na podstawie ekonomii, lecz uczuć; człowiekowi, który zrozumiał, że wychodźtwo pewnej cząski ludności jest prawem nieubłaganem, więc trzeba temu wychodźtwu nadać kierunek, powiadano, że jest złym Polakiem. Wreszcie znaleźli się ludzie, którzy przyznali, że, przypuśćmy, prawo powszechnej ewolucyi istnieje i że cząstka społeczeństwa emigrować musi, ale zastrzegli się, iż lepiej takich prawd ogółowi nie uświadamiać. Dlaczego? I na to odpowiedź znaleźli. Ogół jest do przyjęcia tych prawd nieprzygotowany. I tu rodzi się ów szczególny odłam demokracyi narodowej, która z rzekomo pedagogicznych względów wchodzi w kompromis ze swemi wiarami.

Niebawem jednak wystąpiły inne jeszcze czynniki. Idealne hasła demokracyi niemieckiej z przed 1848 r. dawno przebrzmiały. Śród grzmotu dział pod Gravelotte, pod Sedanem i pod Paryżem, zrodziła się niemiecka Filozofia Pięści. Okrzyk „Siła przed prawem“ odbił się u nas zrazu echem bolesnem. Ale niebawem echo to w społeczeństwie naszem wywierciło jakieś usta i wystrugało jakieś języki, które ów okrzyk przełożyły na „wyłączność polską.“ Ręce małych duchów chwyciły cyrkiel Mickiewiczowski, ścieśniły go i zatoczyły nim maluchne kółko. Wszystko, co się wewnątrz tego kółka znajduje, należy czcić i kochać, natomiast wszystko, leżące na zewnątrz, to wróg, którego trzeba nienawidzić. I nie wiedziały te małe duchy, że za jednym zamachem swych małych rąk popełniły dwie rzeczy: osłabiły nas i zdrobniły na wewnątrz, a przyczyniły nam wrogów na zewnątrz.

Zdawałoby się, że ów „ekskluzywizm“ (wyłączność) polski obejmie przynajmniej wszystkich Polaków, że wzbije się ponad stronnictwa, partye i partyjki, że zmusi do uległości wielkiego pana i poda rękę najnędzniejszemu z nędzarzy. Ale ów „ekskluzywizm“ nie badał machiny społecznej, nie przyglądał się jej poszczególnym kółkom i sprężynkom; on, będąc jednem z kółek i jedną ze sprężynek, ogłosił się za *cały mechanizm*.

W ten sposób polski „ekskluzywizm“ znalazł się w położeniu biegunowem do wielkich haseł demokratycznych naszych dawnych romantyków. Romantycy apostołowali altruizm wszechludzki, nacyonaliści głoszą dogmatykę egoizmu narodowego. Nacyonaliści nie posiadają najmniejszego zrozumienia zagadnień społecznych, gdy tymczasem taki Słowacki pisze skarżącemu się wujowi na swoich poddanych: „Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewien jestem, że portyer, który służy u mnie, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał, i miałby zaraz dla ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście! Któż winien? Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki.“

Romantyzm w bratni uścisk chwytał wszystkie narody, wszystkich cierpiących, chciał się stać bijącem sercem świata. „Ekskluzywizm“ potępia to i mianuje zdradą interesu narodowego.

Nie jestem romantykiem, czas biegnie i dzień dzisiejszy u drzwi stoi. Ale nie mogę zapomnieć, że Sokrates wolał wypić cykutę, podaną mu przez obywateli, niż obniżyć skalę swoich ideałów. A także tego nie mogę zapomnieć, że już po roku opamiętali się jego współobywatele i pociągnęli przed sąd przeciwników jego.

Wierzę w zmienność poglądów na świat, na narodowość; wszelkie dzisiejsze mniemania są, według Marka Aureliusza, tylko obornikiem dla mniemań jutra. Wierzę wraz ze Słowackim, „że ludy płyną jak łańcuch żórawi w postęp.“ Wierzę wraz z Seneką, że cnota potrafi dokazać więcej, niż bojaźń. Wierzę wraz z Epiktetem, że nikt mi duszy skazić nie może, jeżeli ja

sam jej nie skażę. Wierzę z Hekatonem, że jeśli chcę być kochanym, to sam kochać muszę. Wierzę, że warto się poświęcić dla cierpiących. I wierzę także z Mahometem, że wiele czasu upłynęło nad głową człowieka, nim sobie przypomniano o nim. Wierzę też z Schleiermacherem, że człowiek należy do świata, którego budowie dopomaga. Potem wierzę wraz z Kantem, że człowiek więcej zdołać może, niż zrazu mniema. Wierzę wraz z Goethem, że spożywany chleb przychodzi nam skrapiać gorzkiemi łzami. Wierzę wraz z Krasińskim, że często wstaje nie wolności człowiek, ale wolności zwierzę. I wreszcie wierzę w ten wielki, mesyanistyczny uścisk wszechbraterskości naszych starych romantyków i naszych dzisiejszych szlachetnych demokratów...

Ale nie wierzę, by hasło „ekskluzywizmu“ mogło rzucić choć jeden promień do polskiej duszy.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

FIZYOLOGICZNE WARUNKI świadomości i samowiedzy.

III.

Różnice dynamiczne, spowodowane niedostatecznem wyrównaniem wzajemnem energii pojedynczych komórek, a istniejące ciągle, dzięki życiu samodzielnemu naszych komórek nerwowych, wahania tej energii w różnych okolicach układu nerwowego powodują bezustanną zmienność, którą postrzegamy w naszym potoku świadomości; które okolice w danej chwili posiadają większy stopień napięcia stanu czynnego, od tego zależeć będzie treść pojęciowa myśli, wypełniających potok świadomości. Przewaga bodźców świetlnych, wzmożone napięcie energii okolic wzrokowych mózgu — powoduje powstanie w świadomości naszej obrazów wzrokowych, czynnościowa przewaga nad innemi okolic słuchowych, powoduje powstanie obrazów słuchowych, przewaga okolic dotykowych— obrazów dotykowych itd.

Nauka o umiejscowieniu pooznaczała z dużą ścisłością, jakim czynnościom fizyologicznym służą dane okolice mózgowe i jakiej kategoryi zjawisk psychicznych są źródłem. Te okolice, w których kończą się drogi wzrokowe, powodują zjawiska wzrokowe; te, gdzie kończą się drogi słuchowe, wywołują zjawiska słuchowe; dotykowe — związane są ściśle z dotykowemi itd. Rodzaj drogi zmysłowej, kończącej się w danej części kory, decyduje o roli, jaką odgrywa ona w powstawaniu zjawisk świadomości. Wrodzona większa wrażliwość jednej okolicy mózgowej nad drugą rozstrzyga o charakterze umysłowości człowieka. U każdego przeważa inny rodzaj obrazów zmysłowych.

Jedni, obdarzeni np. większą wrażliwością części potylicowej kory mózgowej, posługiwać się będą w pamięci odtwórczej przeważnie obrazami wzrokowymi, kiedy inni, dzięki większej wrażliwości części skroniowej, używać będą najczęściej obrazów słuchowych itp.

Istnienie zetknięć pomiędzy komórkami, utrudniony w ten sposób fakt większego nagromadzenia energii nerwowej w oddzielnych częściach układu nerwowego, ułatwienie równomiernego jej rozdziału po całym układzie, uniemożliwienie jej nagłych i raptownych wyładowań — odczuwamy w naszem doświadczeniu podmiotowem, jako dążenie do unikania kontrastów i przejść nagłych, jakie w sposób tak wyraźny ujawnia świadomość nasza.

Bodźce zbyt silne wyczerpują komórkę nerwową, sprowadzają zniszczenie tworzącej ją protoplazmy — organizm musi ich unikać — inaczej sprawność jego funkcyj narażoną być może na poważne niebezpieczeństwo. Doświadczenie własne nakazuje nam szukać materyału do procesów psychicznych urabiania myśli w bodźcach pewnej tylko siły, nieprzechodzącej granic sprawności czynnościowej naszych narządów nerwowych, a świadomość unika starannie wszelkich zmian nagłych, jako dla zjawisk psychicznych nieprzydatnych, a dla narządu nerwowego szkodliwych.

Kojarzenie, które tak ważną rolę odgrywa w procesie urabiania myśli, w kojarzeniu komórek nerwowych ma swój wykładnik fizyologiczny. Bodziec nowy, dostając się do ośrodków nerwowych, rozrywa dawne komórek tych zespoły kojarzeniowe — powoduje nowe kojarzenia między komórkami, a im trwalszy był dawny układ wzajemny, im większa ilość komórek tworzyła dany zespół, tem trudniej nowej kombinacyi kojarzeniowej opanować poprzednie i doprowadzić je do zgodnej ze sobą współczynności; dlatego to tak trudno myśli nowej wydobyć się na powierzchnię potoku świadomości, dostroić do harmonijnego zespołu ze wszystkimi przydźwiękami duchowemi.

Przedzieranie się tematu myślowego przez przeszkody przydźwięków duchowych, tem większe, im mocniejsze były kojarzenia poprzednie, im większa ilość doświadczeń minionych składała się na dany zespół komórek nerwowych — te wszystkie trudności, przez które przejść musi proces duchowego urabiania myśli, zanim wypłynie ona w postaci gotowego wniosku na powierzchnię potoku świadomości, wszystko to jest tylko wiernem odbiciem w naszem podmiotowem doświadczeniu tych licznych przeszkód i trudności, jakie napotyka proces fizyologiczny, zachodzący w tej chwili w naszych półkulach.

Tak samo w fizyologicznych warunkach układu nerwowego ma źródło najważniejszy czynnik urabiania myśli — wyborcza czynność świadomości. Przystosowanie biologiczne układu nerwowego stanowi źródło tej czynności.

Zaczyna się ono od najpierwszych etapów każdej drogi zmysłowej.

Komórki nerwowe obwodowych narządów naszych zmysłów są przystosowane do odbioru pewnej tylko kategoryi bodźców zewnętrznych. Siatkówka odbiera tylko drgania eteru o pewnej długości fali, komórki nerwu słuchowego — tylko drgania powietrza ograniczonej ilości drgań na sekundę, komórki dotykowe, smakowe, węchowe również przyjmować są w stanie tylko pewne kategorye sobie właściwe, inne, do których są nieprzystosowane, całkowicie pomijają. Niepodobna przypuścić, ażeby zjawiska świata zewnętrznego ograniczać się miały do tych tylko, które my zmysłami swoimi ujmować jesteśmy w stanie; niewątpliwie, istnieć musi cały ogromny świat dla nas zupełnie zamknięty wobec braku w nas narządów zmysłowych, przystosowanych do spostrzegania jego zjawisk. Do oka dostają się wszystkie promienie światła, leżące poniżej granicy czerwonej widma, jak i znajdujące się powyżej jego granicy fioletowej, ale w głąb siatkówki na nerwową drogę wzrokową przedostają się tylko promienie, leżące pomiędzy obu temi granicami, gdyż do nich tylko siatkówka jest przystosowana.

To zjawisko biologiczne przystosowania nie może ograniczać się do pewnej tylko cząstki układu nerwowego, lecz istnieje w całym układzie i wzrasta w miarę coraz wyższego rozwoju tworzących się narządów oddzielnych. Każda droga nerwowa, jak wiemy, nie tworzy jednolitego pasma przewodników, nerwowych, lecz kilka etapów oddzielnych, złożonych z anatomicznie odrębnych komórek. Od stopnia przystosowania każdego etapu, od wrażliwości tworzących go komórek zależy los bodźca, który dostał się w środek układu nerwowego.

Każdy etap wysortowuje bodźce, jedne przepuszcza dalej, drugie skierowuje w inną stronę, lub odrzuca. Im wyższy stopień rozwoju osiągnął dany ośrodek nerwowy, tem wyższe jest jego biologiczne przystosowanie, tem żywszą czynność wyborcza. Najwyższą będzie ona w korze mózgowej, co w podmiotowem doświadczeniu naszem odbije się, jako wyraz czynności wyborczej naszej świadomości. Trafność dokonanego wyboru, przydatność wysortowanego materyału dla procesów duchowego urabiania — zależy od stopnia doskonałości rozwojowej osiągniętej przez układ nerwowy. Sama czynność wyborcza jest zjawiskiem czysto biologicznem i w anatomicznej budowie oraz czynnościach fizyologicznych układu nerwowego posiada swe źródło istnienia.

Kierowani busolą psychologii porównawczej, źródła samowiedzy szukać będziemy w tych okolicach mózgowych, które powstały najpóźniej i przedstawiają stopień najwyższy rozwoju, osiągniętego przez układ nerwowy. Szukać jej zatem będziemy w korze mózgowej, w najpowierzchowniejszej jej warstwie.

(D. n.).

Dr. med. R. Radziwiłłowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

Biedny Henryk.

Media vita in morte sumus.

Los von Hauptmann!.. rzucono, jako pierwsze przykazanie młodzi artystycznej.

— Hauptmann utracił skrzydła lotowe, więcej już bujać nie będzie!.. przekonywano ogół.

A Hauptmann nie chciał sprawiać tej satysfakcyi swym najserdeczniejszym i wciąż tworzył. Co kilka miesięcy wieść o nowym utworze dramatycznym autora „Hanusi“ kłam zadawała tym, którzy pogrześć go radzi, w świat puszczali pogłoski o jego faktycznym zaniku.

Tworzył wciąż — to prawda— lecz stale lot zniżał. I to również smutna prawda. Talent jego w „Tkaczach“ rozbłysnął genialnym blaskiem — cóż kiedy wkrótce zaczął opadać aż na dno szarzyzny literackiej. Jeszcze jeden wspaniały wzlot. „Dzwon zatopiony.“ A potem utalentowana przeciętność... Potem wypaczony eksperyment dramatyczny „Schluck und Jau,“ potem niedołężny dramat ze sfer artystycznych o „Czerwonym kogucie,“ potem wreszcie nieudatna przeróbka „Biedny Henryk“ *).

Tylko połowicznem powodzeniem miał się poszczycić Gerhard Hauptmann po wystawieniu ostatniego swego utworu. Połowicznem, to znaczy, że po większej części dramat nie znalazł uznania, a ta druga, przychylna mu połowa, jest wypływem nietyle wewnętrznej wartości utworu, ile raczej suggestyi nazwisk na wyobraźnię tłu-

*) Gerhard Hauptmann: *Der arme Heinrich*, 1903. S. Fischer Verlag. Berlin.

mu. Zjawisko to łatwo wytłomaczyć. Słowa „Gerhard Hauptmann z takiemi wyobrażeniami kojarzą się jeszcze w duszy zbiorowej tłumu, iż z góry twierdzić można, że tłum ów wiele nieistniejących zalet wezaruje w dzieło, którego autor w jego wyobraźni ma zapewnione dodatnie stanowisko. Zwycięztwo swoje na scenie zawdzięcza on zresztą nietylko wpływowi swego nazwiska i wspomnieniom dawnej wielkości, ale także i „firmie,“ której do pomocy użył. Ostatni bowiem dramat Hauptmanna nie jest pomyślany przezeń oryginalnie, lecz opiera się na dziele autora, równie dodatnio zapisanego w literaturze, a tem samem i wrażliwości Niemców. A jest nim jeden z najbardziej cenionych „Minnesängerów“ średniowiecznych — Hartmann von der Aue.

Tym dwu okolicznościom przypisać należy pewne skłonności do pobłażania, chęć idealizacyi ostatniego utworu Hauptmanna, a wreszcie staranie o wyminięcie krytyki dosadnej a sprawiedliwej. Ale te względy odpadają, kiedy się ma przed sobą dramat w formie książkowej. Jakżeż więc z tej perspektywy wygląda „Biedny Henryk“?

Zanim do omówienia tego przejdę, muszę się przedewszystkiem uporać z kwestyą, nasuwającą mi się uporczywie, ilekroć mam sposobność zetknięcia się z dziełem sztuki, którego treść rozgrywa się w wiekach średnich.

* * *

Wszyscy niemal uważamy czasy obecne za niespokojne, burzliwe, umysłom współczesnym przypisujemy rozdźwięki i dysharmonie, których wyrównanie wydaje się nam niemożliwem. Nazwaliśmy nawet współczesność „wiekiem nerwowym,“ co każdego niemal upoważnia do utyskiwań na „nerwowość“ własną lub otoczenia.

A z drugiej strony, czytając podręczniki, służące do nauczania, a po większej części fałszowania historyi, zyskujemy przeświadczenie, iż wieki średnie to jedna przepyszna, idealnie zharmonizowana symfonia siły, równowagi, tężyzny. Wszak podręczniki tak przekonywające opisują stalowość nerwów tych olbrzymów-rycerzy, świadomych celu i środków, tak rozczulająco malują obrazy ześrodkowanego w cnocie i bogobojności życia rodzinnego. Zdrowiem tryska wszystko, a jeśli komu co dolega, to natychmiast ze spokojnej celi spieszy cichy mnich i kojącą swą ręką uśmierza bole. A w świetlicach, a w komnatach zamkowych taki spokój... Kołowrotek, biblia— to wszechobecne symbole średniowieczne.

Tak uczy podręcznik historyi.

A rzeczywistość? Ta wskazuje nieubłaganie odwrotną stronę medalu.

Pokazuje mocarza, co z grobu kazał wywlec rozkładające się ciało żony, przyoblec je w królewskie szaty, przyodziać w najświetniejsze kosztowności i całemu dworowi przedefilować przed cuchnącym trupem. A jeśli który z zalęknionych dworaków zadrga — skrócić go o głowę.

Pokazuje innego, co kazał najpiękniejsze dzieci z całego państwa sprowadzać do zamku, by im własnoręcznie rozpruwać brzuchy i ogrzewać nogi w ciepłych i drgających jeszcze wnętrznościach.

Pokazuje tysiące rycerzy, co to w dniach Męki Pańskiej kajali się po kościołach, a bezpośrednio potem czatowali w jarach i wąwozach na bezbronnych kupców, niewinne dziewice, zbłąkanych wędrowników lub chłopków, ciągnących na targi.

Pokazuje tysiące w regularne tabory zorganizowanych „wolnych dziewic,“ włóczących się z miasta do miasta na sprzedaż własnego ciała, a zostawiających w niem najstraszniejsze, bo nieuleczalne wówczas choroby płciowe.

Pokazuje setki pogorzelisk kwitnących miast, obróconych w perzynę przez kaprys magnata.

Pokazuje tysiące dymiących stosów, piekących „na wolnym“ ogniu czarownice i kacerzy, co to po niedostępnych wykrotach mszę czarną odprawiali *ad maiorem gloriam* — szatana.

Pokazuje olbrzymie szmaty ziemi, na których co drugi człowiek— to trędowaty, wyjący z bólu żywy trup, przeklinający Boga, świat i swą istność.

Pokazuje hordy dyabologów, satanofilów, dzieci nocy i występku, kryjących się przed światłem po dąbrowach i norach.

Pokazuje pokotem leżące po rowach histeryczne kobiety, zdzierające z siebie odzież i drgające w lubieżnej ekstazie, gdy gościńcem przeciąga świetny oddział rycerzy, odzianych w błyszczącą w słońcu zbroję.

Pokazuje wreszcie ciemny lud, uciekający przed gromami tylu nieszczęść do przybytków bożych i zanoszący tam rozpaczliwe pienia...

* * *

Taką jest *prawda* w dziejach średniowiecza.

Dualizm Boga i szatana gnieździł się w piersiach i rozsadzał dusze na dwie nieprzystające do siebie połowy. Dualizm ten był również nierozdzielną częścią indywidualności pieśniarza XII wieku, Hartmanna von der Aue *). Z niego też poczęta została opowieść o trędowatym, „biednym Henryku.“ Z jednej strony klątwa czasu: szatan, trąd, z drugiej jej błogosławieństwo: Bóg, zdrowie. Zwyciężał oczywiście Bóg, w którym wówczas znajdowano przecież ujście przed działaniem wszelkiego zła.

Hiob, trądem tknięty, podporządkowywał się zupełnie woli Opatrzności; inaczej się zachowywał Henryk średniowieczny: on protestował przeciw porządkowi świata, w nim szatan knował przeciw Bogu. Ten rys pragnął też Hartmann von der Aue uwidocznić w swem dziele.

A więc niema już mowy o tym cichym, optymizmem złoconym bólu męczennika biblijnego. Rycerz Henryk żył w świetności i blasku — choroba zepchnęła go z wysokości zajmowanego stanowiska, i oto burzy się w nim szatan.

W tej chwili wprowadza pieśniarz XII w. motyw odrodzenia moralnego i fizycznego. Czysta dziewica, której krew, złożona bezinteresownie w ofierze, miała wedle wierzeń średniowiecznych moc uzdrawiającą, jest narzędziem owego odrodzenia. Lecz „Minnegesang“ nie znosił tragedyi, opartej na śmierci bohatera. Dlatego dziewica, ofiarująca swe życie dla zbawienia rycerza, nie kończy „tragicznie.“ Sama jej wola starczy za rzeczywistą ofiarę. Rycerz Henryk dochodzi do zdrowia już przez to samo, iż wogóle ktoś się znalazł, co czyste swe ciało chciał dlań poświęcić.

Tak wygląda powieść o trędowatym rycerzu ze stanowiska poety średniowiecznego.

Co z niej zrobił Gerhard Hauptmann? a właściwie, jak ją przerobił?

* * *

Niepodobna przesadzić w twierdzeniu, jak ryzykownem, nawet dla najsamodzielniej twórczego umysłu, jest przetapianie jednego i tego samego tematu w odmienną formę.

Pomysł bowiem twórczy może się wcielić w jedną jedyną formę i to koniecznie taką w jakiej się ujawnił. Rzec można, iż myśl twórcy i forma, w jaką swe myśli ubiera, tak dalece zrosły się ze sobą, iż rozerwanie ich jest prawie niemożliwe. Bo czyż można sobie wyobrazić myśl twórczą Homera, ucieleśnioną w formie dramatu, lub na odwrót, treść myślową Hamleta, wyrażoną w formie np. lirycznej. A choćbyśmy sobie nawet to wyobrazić mogli, to przyznać musielibyśmy, iż przeobrażając formę uronić musi ten, kto tej przeróbki dokonywa, niejedno z zakresu i głębi myśli twórcy. Bo czyż podobna tak w dzieło wniknąć, aby wszystko zeń przyjąć, aby patrzeć okiem twórcy, słyszeć jego uchem, czuć jego sercem?

Dlatego, mimo pozorną tożsamość między dziełem oryginalnem a przeróbką, mimo pozorną analogię między postaciami obu, mimo taki sam aparat zjawisk zewnętrznych — dusze postaci przerobionych z oryginału dalekie będą od tożsamości pod względem siły napięcia.

To jest pierwszy, a zarazem najważniejszy powód, dlaczego każda przeróbka musi się nieudać.

A dalej. Symbolem myśli jest słowo. A słowo jej w dramacie jego formą. Jak tedy postępuje człowiek przerabiający dzieło oryginalne? Stara się rozerwać związek, zachodzący między myślą a słowem, wyodrębnić następnie tę myśl, aby ją wreszcie w inną ulać formę. Cóż tedy czyni? Gwałci po pierwsze przyrodzoną harmonię między treścią myślową dzieła a jego formą — i to pierwszy jego grzech; stara się zgłębić dla celów własnych cudze myśli, wiedząc, że ich dna nie dosięgnie — i to drugi jego grzech; urabia dla cudzych myśli, i to niedostatecznie pogłębionych, nową, niewłaściwą formę — i to jest grzech jego trzeci.

„Zgrzeszył“ też niemało Gerhard Hauptmann, zabierając się do przeróbki poematu pieśniarza średniowiecznego. To bowiem, co w poemacie opisowym uchodziło za czynnik dodatni, tu, w formie dramatycznej przyjęło kształty wprost nieartystyczne.

Przedewszystkiem temat. Trędowaty, jako punkt środkowy akcyi dramatycznej. Ze stanowiska teoretycznego nic temu zarzucić by się nie dało. Niema takiego faktu życiowego, któryby się nie dał wcielić w dzieło sztuki. Tak powiada teorya. Ale praktyka? Estetyka widza czy czytelnika? Czyż można ją tak dalece wystawiać na próbę? Kazać przezwyciężać odrazę przyrodzoną?

Lecz choćbyśmy się nawet na taki temat zgodzili, to jeszcze tem samem uznawać nie musimy jego tragiczności. Bo czyż wszystkie uczucia mogą wywoływać w duszach widzów oddźwięki, które pospolicie zwiemy „oddziaływaniem“ dramatu? Litość wobec choroby fizycznej jest bezwątpienia uczuciem ogólnoludzkiem, w życiu budzi ona silną reakcyę. Lecz w dziele sztuki? W tragedyi? Aby pewne uczucie, prócz swego znaczenia ogólnoludzkiego, miało jeszcze siłę oddziaływania dramatycznego, musi ono być skutkiem woli danej osoby. Cierpienia Otella są tragiczne, bo sam je spowodował, cierpienia jego są następstwem faktów, do których sam Otello rękę przyłożył — i dlatego są wspaniałem podściełiskiem akcyi tragicznej. A rycerz Henryk? Czyż on spowodował swe cierpienie? Nie. Bez jego winy, bez jego woli i wpływu, trąd skaził jego ciało. Czyż to dostateczne podłoże, by na niem oprzeć tragedyę? Nie sądzę.

Jeżeli sam temat ostatniej sztuki Hauptmanna jest wysoce niedramatyczny, to rozwinięcie jego niweczy wprost czar opowieści, wyśpiewanej przez Hartmanna von der Aue. Nie poprzestając bowiem na tem, co pieśniarz XII w. o losach trędowatego rycerza powiedział, dodał Hauptmann kilka motywów, banalizujących jeno ów wysoce nastrojony pogląd na szczytność ofiary, złożonej przez dziewicę, powodowaną li tylko miłosierdziem.

W sztuce Hauptmanna dziewica ta nazywa się Ottegebe, a jest duchową siostrzycą Hanusi Wniebowziętej i Rusałki z Dzwonu zatopionego. Zbliża się ona do Henryka, niby anielica, niepokalana w swej świętości. A on jak się zachowuje?

*) Hartmann von der Aue: *Der arme Heinrich.* Im Verlag des Universal-Bibliotek Reclam.

W nim odzywa się wobec tej seraficznej istoty — brutalny samiec. Nie przyjmuje jej ofiary nietylko z pobudek wyższych, tak cudnie przedstawionych przez Hartmanna von der Aue, ile raczej z pożądliwości dla niej, z chęci jej posiadania.

Czarująca sfera ofiary, w pokorze przez anioła złożonej, obniża się do poziomu małżeństwa, rzeczywiście przez uzdrowionego rycerza zawartego.

Takim zgrzytem kończy się sztuka Hauptmanna.

I pocóż było z mroków średniowiecza wyławiać seraficzne cienie, by je ogałacać z czaru dawno minionej epoki, robić z nich opacznie pojęte pokurcze?

Bertold Merwin.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Przybyszewski: *Dla szczęścia*, dramat w 3 aktach. — Juliusz Renard: *Marchewka*, komedya w 1 akcie.

Z szeregu utworów scenicznych Stanisława Przybyszewskiego ponury dramat, rozgrywający się z nieubłaganą konsekwencyą między Mlickim, Żdżarskim, Heleną i Olgą Agrelli, należy do najwcześniejszych i zarazem najlepszych. Co więcej, sztuka ta, niezależnie, zdaje się, od zamiarów autora lub nawet wbrew tym zamiarom, jest jednym z „najmoralniejszych“ utworów głośnego pisarza, zdającym się krzyczeć wielkim głosem, że podnoszone gdzieindziej dążenie bezwzględne do tak zwanego szczęścia osobistego, z pogwałceniem uczuć i praw cudzych, z przygłuszeniem wydobywającego się z głębi duszy głosu sumienia, mści się w sposób okropny na psychopatycznych osobnikach, łudzących się przypuszczeniem, że szczęście takie jest naprawdę możliwe. „A cóż mnie sumienie obchodzi — woła bohater sztuki do przyjaciela, usiłującego go zatrzymać przy oddanej mu duszą całą kobiecie i odwieść od fatalnego związku z inną, dla której nie będzie on pierwszym, ani zapewne ostatnim — chcę szczęścia, chcę żyć, a pozostać tu dłużej to dla mnie zguba.“ Bez wahania więc prawie, pod wpływem niewytłomaczonego szału, zaślepienia czy próżności, rzuca kobietę, z którą przeżył dwa lata, która jego tylko kochała, dla niego rzuciła dom rodzicielski, dla niego poświęciła wszystko, i łączy się, nie chwilowo już, ale związkiem małżeńskim, z inną, która zmysły jego opętać zdołała. Ale mimo wszystkie rozumowania teoretyczne, krzyk rozpaczy porzuconej Heleny nieprędko zamilknie w duszy Mlickiego. Pomiędzy nim a Olgą sam już cień opuszczonej stanie, jak widmo grobowe, i zatruje każdą chwilę kupionego za tę cenę szczęścia, które obojgu im wyda się prędko jakąś smutną i wstrętną parodyą. A wydobyty z wody trup Heleny, skierowany przez mściwego Żdżarskiego do ich mieszkania, stanie pomiędzy nimi na zawsze i przerażeniem okropnem przejmie nawet „demoniczną“ Olgę, która niedawno jeszcze podsuwała Mlickiemu myśl potworną, że samobójstwo Heleny nie byłoby znów niczem tak strasznem, że —przeciwnie — ulgę tylko przynieśćby mogło zarówno jemu samemu, jak opuszczonej przezeń kochance.

Jeżeli wogóle autor „Złotego runa“ posiadł rzadką wśród młodszego pokolenia dramaturgów moc wywierania ze sceny niezwykle silnych wrażeń, to w danym razie jest to jeszcze spotęgowane ogromną prostotą pomysłu i użytych środków artystycznych. „Dla szczęścia“ — to rzecz z pozoru tak niezawiła, że dałaby się streścić w kilkunastu nieledwie wyrazach, a jednocześnie zawiera takie mnóstwo szczegółów, targających silnie nerwy i pełnych brutalnej prawdy życiowej, że chcąc dać o dramacie tym bliższe pojęcie należałoby przytaczać długie ustępy, a raczej — zaprowadzić czytelnika na przedstawienie, gdyż dopiero w odtworzeniu scenicznem występują w całej pełni niewątpliwe zalety artystyczne tego utworu.

Bohaterowie sztuki, jak zawsze prawie u Przybyszewskiego, obracają się i tu zresztą w ciasnem kole osobistych uczuć i popędów. Miłość egoistyczna, żywiołowa — jest dla nich główną sprawą życia i źródłem najstraszniejszych udręczeń. Nie wznoszą się oni i wznieść nie mogą do pojęcia, że szczęście, do którego garną się tak bardzo, natrafiając w pogoni za jego widmem na same tylko rozczarowania i zawody, leży naprawdę nie w kałużach i mętach życia, lecz w połączeniu pragnień osobistych z szerszemi dążeniami ogółu, w ukochaniu jakiejś idei, nie własne tylko dobro mającej na celu, nieraz nawet w wyrzeczeniu się dla niej tego wszystkiego, co łudzić może chwilowo zwodnym blaskiem szczęścia osobistego. Są wogóle nieszczęśliwi, choćby przez to, że żyją nie całą pełnią życia, nie całą gamą uczuć i porywów, dostępnych duchowi ludzkiemu, ale jakiemś półżyciem czy ćwierćżyciem, wywierając wrażenie istot, zamykających się dobrowolnie w zatęchłej i ciemnej izbie, zamiast wydobyć się na otwarte i szerokie przestworze, przesiąknięte blaskiem wiosennego słońca i subtelną wonią rozwijających się kwiatów i liści. Tak pojmowani, w tym szczupłym zakresie uczuć i myśli, nie rażą jednak fałszem najmniejszym ani w czynach, ani w drgającym życiem dyalogu, pełnym prostoty i siły. Są zgodni z sobą w każdym szczególe, a sceny, rozgrywające się między nimi, trzymają od początku do końca uwagę widza w natężeniu gorączkowem.

Są między nimi jednostki wstrętne, jak wyszarzana w orgiach zmysłowych, przewrotna i wynaturzona Olga; zdarzają się sympatyczne zupełnie, budzące dla swych cierpień współczucie szczere, jak Helena, która w otoczeniu zepsutem potrafiła zachować czystość i jasność duszy, w miłości umie wznieść się do poświęcenia, więcej może myśląc o szczęściu Mlickiego, niż o własnem, i wywiera chwilami wrażenie delikatnego kwiatu kobiecości, zgniecionego ordynarną dłonią przechodnia i rzuconego bezlitośnie w bagnisko. Żdżarski, mszczący się w tak okropny sposób za zdeptanie swych uczuć na Oldze, za sponiewieranie uczuć Heleny na Mlickiem, budzi przerażenie i zgrozę i mógłby łatwo pod mniej utalentowanem piórem przestąpić granicę, za którą zaczyna się — melodramat. Przybyszewski jednak, jak nikt może u nas ze współczesnych, przystosowuje intuicyjnie swe postacie do warunków i wymagań teatralnych i granic takich nie przekracza nigdy.

Mlicki wreszcie, ów smutny bohater Mlicki, budzić może jedynie litość lub nawet wzgardę, jako jednostka słaba, pozbawiona woli, dająca się rzucać po fali życia chwilowym przypływom i odpływom namiętności i nie poczuwająca się wcale do odpowiedzialności moralnej za czyny, wyrządzające innym krzywdę największą. Niepodobna się zgodzić z komentarzem autora, rzuconym od niechcenia w *Kuryerze Teatralnym*, jakoby Mlicki miał być *„rzeczywistym mężczyzną*, mocnym i silnym człowiekiem, który chwilowo upada pod ciężkiem brzemieniem, może nawet dojść do obłędu, ale wnet się w nim obudzi hart i siła.“ Pod tym względem sztuka Przybyszewskiego, napisana przed kilku laty, jest zrozumialsza i lepsza, niż jej interpretacya obecna. Byłoby bardzo smutne, gdyby „rzeczywisty mężczyzna“ miał tak wyglądać istotnie; na szczęście jednak tak nie jest. Mężczyzna prawdziwy, w szlachetniejszem pojęciu tego wyrazu, kieruje czynami swymi i bierze za nie odpowiedzialność. Gdyby nawet znalazł się w takiem położeniu, jak Mlicki względem Heleny, to oddanej sobie tak gorąco i tak wyłącznie kobiety, z którą przez dwa lata złączony był związkiem najściślejszym, nie rzuci w pół drogi i nie odtrąci od siebie, choćby do tego kusiła go nie — doświadczona Olga, lecz wcielony szatan we własnej osobie. Sądzę więc, że w odtworzeniu tej postaci bliższym prawdy życiowej był p. Wostrowski, który w Mlickim widzi przedewszystkiem pozbawionego woli histeryka, niż wyborny zresztą skądinąd p. Nowicki, którego grę podniósł tak wysoko sam autor.

Sztuka wogóle odegrana została koncertowo. Świetna jest zwłaszcza w roli Heleny p. Federowiczowa, której gra przemawia i wzrusza szczerem i głębokiem uczuciem. P. Żelazowski, jako Żdżarski, wznosił się chwilami do wyżyn istotnego tragizmu. Pani Siennicka tylko, zdaniem naszem, pojęła Olgę zbyt powierzchownie i szablonowo i nie zdołała wyposażyć tej postaci w rysy indywidualne.

Razem z dramatem Przybyszewskiego wystawiono jednoaktową komedyę, jak chce afisz, p. t. „Marchewka,“ napisaną po francuzku przez Renarda i nieszczególnie przetłomaczoną na język polski przez niewiadomego autora. Jest to właściwie dramatyczna kartka z życia rodziny współczesnej, stanowiącej dziś tak często, mówiąc słowami dręczonego przez matkę „Marchewki,“ przypadkowy zbiór osób, które żyją pod jednym dachem i nie mogą się nawet zrozumieć wzajemnie. Większych zalet scenicznych sztuka ta nie posiada, daje tylko pole do popisu pani Przybyłko, która tytułową postać młodego chłopca odegrała znakomicie, mając bardzo dobrych partnerów w pp. Bogusławskiej, Junoszy i Ładnowskim.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

POWIEŚĆ. Zofia Urbanowska: „Róża bez kolców,“ powieść osnuta na tle przyrody tatrzańskiej. Autorka w przystępnej formie zaznajamia młodych czytelników z florą i fauną Tatr, z ich kruszcami, minerałami, klimatem, wreszcie z życiem pasterskiem ludu, jego pieśniami, muzyką i oryginalną sztuką zakopańską. Wydanie w dużym formacie, na 400 stronicach druku, ozdobione dwustu kilkudziesięciu rysunkami.

— El. Orzeszkowa: „Nad Niemnem,“ nakł. „Macierzy,“ wyd. A. Morzkowskiej.

— E. Jeleńska: „Dwór w Haliniszkach,“ powieść współczesna, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— W. Gąsiorowski: „Rapsody napoleońskie,“ zbiór fragmentów historycznych. Nakł. Wendego.

— H. Orlicz-Garlikowska: „Opinia,“ 2 t., skład w ks. Fiszera.

— Maksym Gorkij: „Byli ludzie,“ przeł. B..e, nakł. Wendego.

UTWORY DRAMATYCZNE. Zygmunt Kawecki: „Dramat Kaliny,“ nakł. Altenberga we Lwowie, skład u Wendego.

— M. Maeterlinck: „Monna Vanna,“ w 3 aktach, tłom. Z. Sarnecki, nakł. Altenberga.

— L. Rydel: „Utwory dramatyczne“ (Matka, Dies Irae, Z dobrego serca, Ze sceny), skład u Wendego.

KALENDARZE. „Ognisko domowe,“ popularny, ilustr., nakł. Dubowskiego.

— „Kalendarz Bociana,“ 50 kop. Centnerszwer.

— „Czas,“ wyd. Dobranickiej, księg. Rychlińskiego w Łodzi.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z sekcyi handlowej.

Na sobotniem zebraniu sekcyi handlowej p. Stanisław Bukowiecki wygłosił referat „O pośrednictwie pracy,“ tj. o pośredniczeniu pomiędzy pracą a kapitałem, wzajemnie się poszukującymi. W dzisiejszych stosunkach praca — to towar. Jak pomiędzy producentem a konsumentem towarów zjawia się pośrednik kupiec, tak pomiędzy robotnikami a przedsiebiorcą stosunki nowoczesne powołały do życia pośrednika w osobie prywatnego przedsiebiorcy, lub instytucyi społecznej, których zadaniem jest ułatwianie porozumienia pomiędzy obu stronami. Instytucye pośrednictwa pracy doby dzisiejszej są wytworem nowym i względnie niedawnym. Minione formy ekonomiczne nie potrzebowały ich zwłaszcza w rolnictwie: stosunki poddańcze zapewniały przedsiebiorcy rolnemu stałego robotnika. Inaczej te stosunki ukształtowały się w miastach. Indywidualistyczny nastrój cechowy powołał do życia samorodną organizacyę pośrednictwa w pracy. Wędrowny czeladnik, przybywając do miasta, nie obchodził wszystkich majstrów w poszukiwaniu zajęcia, lecz zwracał się do starszego czeladnika danego cechu, a ten skierowywał go do majstra, potrzebującego siły roboczej.

Organizacya ta przestała istnieć wraz z upadkiem cechów. Z chwilą rozwoju manufaktur powstały prywatne biura pośrednictwa pracy, po raz pierwszy w XVII w. we Francyi i zapanowały niepodzielnie. Dla prywatnego pośrednictwa pracy, jako procederu wolnego, goniącego za największym zyskiem, sfery robotnicze były nieprzychylnie, a nawet wrogo usposobione. W r. 1848 robotnicy zażądali zniesienia tych biur. To też prawo francuskie z roku 1852 zamieniło ten proceder wolny na koncesyonowany, podlegający ścisłej kontroli. W Niemczech także, choć znacznie później, opinia publiczna zaatakowała prywatne biura pośrednictwa pracy, które wyzyskiwały najbardziej masy wędrownych, polskich robotników rolnych. Specyalną formę pośrednictwa pracy przyjęto w czasach ostatnich, mianowicie ogłoszeń w pismach. Opinia jednak publiczna stale domaga się uregulowania tej sprawy przez władze. Potrzeba wytworzyła organizacye robotnicze lub odpowiednie organa przedsiebiorców. Robotnicze organizacye tego rodzaju powstały w Anglii przy trade-unionach i wyparły wszelkie inne typy pośrednictwa. We Francyi czynność tę spełniają syndykaty zawodowe za pomocą Giełdy pracy. W Niemczech działają tak zwane „Gewerkvereiny,“ będące zarazem narzędziem walki z kapitalistami. Ostatnimi czasy powstały nad Renem Związki stowarzyszeń, stojące zupełnie po za obrębem walki klasowej. W miastach czynne są miejskie urzędy pracy (Städtichesarbeitamt). We Włoszech pośrednictwo ześrodkowało się w organizacyach zwanych Izbami robotniczemi. Dalsza ewolucya pośrednictwa odbywa się w kierunku interlokalnej organizacyi pośrednictwa (Wurtemberg, Bawarya, Luksemburg).

Wszystkie typy tych organizacyj można sprowadzić do trzech form zasadniczych: 1) organizacye robotnicze oparte na samopomocy (Anglia); 2) organizacye robotnicze popierane przez gminy (Francya); 3) Organizacye państwowe (Niemcy).

U nas w sprawie pośrednictwa w pracy zrobiono niewiele. Wprawdzie w r. 1899 zjazd górniczy projektował założenie biura pośrednictwa pracy; skończyło się jednak na projekcie. Biuro istniało czas jakiś przy Kieleckiem Tow. Rolniczem. Obecnie pośrednictwem pracy trudnią się oba Towarzystwa pracowników handlowych; poza tem istnieją kantory służących i biuro pośrednictwa przy magistracie. Wszystkie te drobne organizacye nie odpowiadają stosunkom dzisiejszym. A wytworzenie takiej ogólnej, społecznej organizacyi jest potrzebą palącą. W dyskusyi nad referatem zwrócono uwagę, że przy tutejszym oddziale Tow. pop. rosyjs. przemysłu i handlu przedsiewzięto pewne starania w tym celu, lecz te rozbiły się o przeszkody natury formalnej. Mogłoby się tem zająć towarzystwo dobroczynności, którego ustawa przewiduje te zadania. Zaznaczono również, że istnieją komisye, powołane przez sekcye: techniczną i rzemieślniczą do zajęcia się projektem instytucyi pośrednictwa pracy. Sekcya handlowa wybrała też ostatecznie w tym samym celu komisyę, do której weszli pp. Bukowiecki, Pfeifer i Suligowski. *K.*

KRONIKA.

Sprawa węglowa. Wraz z pojawieniem się silnych mrozów, wypłynęli na powierzchnię gruntu warszawskiego niesumienni spekulanci, którzy podobnie jak dwa lata temu postanowili ciągnąć zyski z krzywdy najbiedniejszych mieszkańców miasta. Zuchwalstwo i bezwzględność tych panów doszły do tego, że dla podniesienia cen węgla zawiadomili kopalnie krajowe o potrzebie zmniejszenia wysyłki towaru. Wobec tego niesłychanego stanu rzeczy, podobnie jak i dwa lata temu, zawiązał się niezwłocznie komitet obywatelski, który wziął na siebie poskromienie niesumiennej spekulacyi przez ujęcie w swe ręce dostawy węgla do Warszawy, co okazało się rzeczą dość prostą i łatwą, gdyż kopalnie zobowiązały się przysyłać codziennie tyle węgla, ile komitet zażąda. Gdyby kolej Warszawsko-Wiedeńska, która oświadczyła się z gotowością dostarczenia potrzebnej ilości wagonów, umiała dotrzymać swych obietnic, sprawa byłaby na dobrej drodze i spekulacya zostałaby złamana; ceny węgla w każdym razie już spadły. Lecz według nas to, co zostało zrobione, to jedynie półśrodek, mający chwilowe tylko znaczenie. Należy pomyśleć o stałem zaradzeniu złemu, aby się ono już nigdy w przyszłości powtórzyć nie mogło. Akcya publiczna wzięła w opiekę jedynie ludzi najbiedniejszych, którzy najwięcej muszą ucierpieć na niesumienności spekulantów węglowych. Ostatecznie nie można mieć nic przeciw temu, że myśl ludzi dobrej woli zwraca się przedewszystkiem ku najbardziej potrzebującym. Lecz pytanie, dlaczego ktokolwiekbądź ma padać ofiarą wyzysku spekulantów i opłacać się im według ich łaskawego uznania? Dlaczego dar przyrody, z którego mają prawo korzystać wszyscy, musi być źródłem nadmiernego dochodu dla garstki tylko najmniej uspołecznionych i najmniej na poparcie zasługujących jednostek? Niewątpliwie nikt nie może wymagać nawet od ludzi najbogatszych, aby się dawali wyzyskiwać. Każdy ma prawo i obowiązek bronić się. Ale czy jest na to jaka rada? Czy jest na to środek? Niewątpliwie że jest, tylko nie w postaci komitetu obywatelskiego, zawiązującego się w chwili grożącego niebezpieczeństwa, a następnie rozwiązującego się i dającego spekulantom nadzieję nowych zysków nieprawych. Taki komitet obywatelski, jakkolwiek bardzo dobry w danej chwili, nie ma trwałej wartości i nie może wpłynąć na stałą zmianę stosunków ekonomicznych. Nasza działalność w sprawie węglowej posiada charakter wybitnie filantropijny, a powinna mieć cechy samopomocy, oprzeć się na zasadzie współdzielczości, czyli kooperacyi. Najwłaściwszem wyjściem ze sprawy węglowej byłoby zawiązanie spożywczej kooperatywy węglowej, zaopatrującej stale swych członków w węgiel po cenach przystępnych, bez względu na większe lub mniejsze mrozy. Przy odpowiednich kapitałach i jakiej takiej gwarancyi dałoby się niewątpliwie nawiązać bezpośrednio stosunki z kopalniami. Spożywcza kooperatywa węglowa byłaby bodaj najskuteczniejszą bronią przeciw wyzyskowi. Niech więc komitet obywatelski pomyśli o inicyatywie w tym kierunku, a spełni czyn prawdziwie obywatelski i pchnie nas na tory samopomocy, tej jedynej racyonalnej zasady ekonomiczno-społecznej.

Z Poznańskiego. Rada miasta Poznania mianowała dotychczasowego nadburmistrza swego, Wittinga, obywatelem honorowym, mimo protestu polskich radnych, że Witting nie zdobył sobie uznania całej ludności poznańskiej.

— Dnia 7 grudnia odbyło się w Poznaniu zebranie główne komitetu Towarzystwa hakatystycznego, na którem postanowiono zwrócić się do rządu o utworzenie dla prowincyi polskich funduszu szkolnego, w rodzaju kolonizacyjnego, podwyższenia pensyj gorliwym nauczycielom ludowym i przyznania im jako patryotom prawa należenia do dozoru szkolnego. Jednocześnie stwierdzono, że stowarzyszenie liczy obecnie 26,255 członków.

— W Bydgoszczy skazani zostali przez miejscową izbę karną za obrazę poczty p. Franciszek Megger, student prawa, na 50 m. kary i siostra jego Agnieszka na 30 m. Sprawa tak się przedstawia: Do oskarżonej nadszedł list, adresowany po polsku, w którym wyraz „Wielmożna“ był podkreślony ołówkiem i zaopatrzony w postawiony obok znak zapytania. Na prośbę siostry p. Megger wniósł do dyrekcyi poczty zażalenie na oburzającą szykanę. Dyrekcya zaś wniosła do sądu skargę na interpelanta, za impertynenckie i zuchwałe piętnowanie postępowania urzędnika pocztowego.

Szkoły i wychowanie. W politechnice warszawskiej otworzoną została sala fechtunkowa, pod kierunkiem osobnego nauczyciela.

— Z powodu niewniesienia wpisów w terminie ostatecznym, zarząd uniwersytetu postanowił wykreślić z liczby uczących się 319 studentów.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, aby władza zwierzchnia żeńskich, średnich zakładów, w razie gdyby uczennice, kończące te szkoły, pragnęły wstąpić do której z wyższych uczelni naukowych, na wyższe kursa żeńskie lub do instytutu lekarskiego, wydawała im kopie świadectw o sprawowaniu się za ostanie trzy lata pobytu w szkole, które uczennice powinny złożyć razem z innymi dowodami przy podaniu o przyjęcie.

— Galicyjska rada szkolna, krajowa rozesłała okólnik do dyrekcyj wszystkich szkół średnich, w którym wzywa nauczycieli wogóle, a zwłaszcza księży katechetów, nauczycieli historyi powszechnej, oraz literatury, aby wpływali na zmniejszenie antagonizmów narodowych wśród młodzieży polskiej i rusińskiej. Okólnik zaznacza, że dotychczas grona nauczycielskie nie oddziaływały dostatecznie w tym kierunku i podnosi, że nauczycielstwo obu narodowości bratnich zgodnem swojem pożyciem towarzyskiem przyświecać powinno młodzieży.

Wiadomości naukowe. Dnia 23—30 kwietnia obradować będzie w Madrycie czternasty międzynarodowy kongres medyczny. Interesowani winni zawiadomić komitet przed d. stycznia 1903 r.

— Dn. 10 grudnia r. b. w Sztokholmie, w obecności króla Oskara i jego rodziny odbyło się uroczyste rozdanie czterech wielkich nagród z zapisu Nobla, które otrzymali: w zakresie medycyny dr. Ronald Russ z Liverpoolu, chemii — prof. Emil Fischer z Berlina, fizyki — prof. Lorentz-Leyden i prof. Zeemann z Amsterdamu (po połowie), literatury — prof. Teodor Mommsen z Berlina. Dr. Ross, Emil Fischer i Lorentz-Leyden byli rozdawnictwu nagród obecni, profesorów zaś Mommsena i Zeemanna zastępowali posłowie Niemiec i Holandyi. Król Oskar wręczył osobiście każdemu z wybranych nagrodę pieniężną, dyplom i wielki medal złoty imienia Nobla, wśród żywych oklasków publiczności.

— Zjazd prawników polskich odbędzie się w Krakowie w czerwcu r. p.

— W styczniu r. p. zwołany będzie w Petersburgu trzeci zjazd w sprawie wykształcenia technicznego i zawodowego.

Literatura i prasa. Redakcya *Rolnika i Hodowcy* ogłasza konkurs na dwa artykuły, z których jeden ma być poświęcony rolnictwu, drugi hodowli. Treść i wybór przedmiotu pozostawiono woli i uznaniu piszących. Artykuły mają być oryginalne, zastosowane do warunków naszego kraju, oparte na znajomości przedmiotu, pisane popularnie, językiem poprawnym i przygotowane wprost do druku, objętości mniej więcej tysiąc wierszy druku. Najlepsze prace w każdym konkursie otrzymają po 75 rb., inne nagrody wynosić będą po 25 rb. Termin nadsyłania prac upływa w dniu 1 maja 1903 r.

— Warszawska komora otrzymała rozporządzenie, aby książki i wszelkie druki, sprowadzane z zagranicy przez instytucye, którym przysługuje prawo sprowadzania ich bez cła, w celu skrócenia korespondencyi biurowej, wydawane były adresatom odrazu, bez potrzeby wyjednywania każdorazowo pozwolenia departamentu celnego.

— Dnia 7 grudnia uczczono w Norwegii świętem narodowem 70-tą rocznicę urodzin Björnstjerne-Björnsona.

— Dziennikowi *Odesskija Nowosti* zabroniono sprzedaży numerów pojedyńczych.

Ze sztuki. Dn. 12 grudnia otworzoną została w Warszawie, w salach Ratusza, wystawa teatralna, urządzona w celu zasilenia funduszów Towarzystwa dobroczynności. Zgromadzono na niej zbiory, dotyczące dziejów teatru i artystów sceny polskiej.

— W Krakowie otworzoną została wystawa starych opraw, na którą złożyły się zbiory Muzeum narodowego i ofiarowane przez p. M. Bersona z Warszawy.

— We Lwowie otworzono wystawę plakatów polskich, czeskich i południowo-słowiańskich.

Sprawy ekonomiczne. Obradująca w Warszawie nad sprawami rolnictwa komisya oświadczyła się stanowczo za zniesieniem dzielenia pól na szachownicę i w tym celu odesłała swe wnioski do władzy wyższej.

— Senat orzekł, iż do zupełnego ukończenia robót budowlanych dom nie może być uznany za nieruchomość i podlegać z tego powodu podatkom.

Katastrofy. W Gneisenau, pod Dortmundem w kopalniach, eksplodowało około 6.000 kilogr. dynamitu Zginęło 6 osób, kilkanaście odniosło uszkodzenia.

Zmarli. W 42 roku życia, d. 12 grudnia, zmarł we Lwowie doktór filozofii i medycyny Wacław Sobierański, profesor na katedrze farmakologii w uniwersytecie marburskim, a następnie lwowskim. Zmarły uczony był nietylko znakomitym znawcą swej specyalności i autorem licznych prac w jej zakresie, lecz jednym z najsumienniejszych lekarzy-praktyków, a przytem człowiekiem szlachetnego serca i szerokiego umysłu.

— Gundakkar bar. Suttner, powieściopisarz, w Harmonsdorfie.

— Dr. Jan Tymowski, lekarz w San Remo, rodem z Królestwa Polskiego; zmarł w Paryżu. Oprócz prac z zakresu swego zawodu pisywał korespondencye do pism lekarskich.

— Władysław Łuszczkiewicz, artysta-rzeźbiarz, w Nowym Sączu w Galicyi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. K. Nie jest to z naszej strony pedantyzm, lecz zapobieganie dwuznacznikom i śmieszności om. Niech Pan weźmie np. zdanie następujące, zamieszczone w jednej z gazet warszawskich: „Testament dotyczył już tylko majątku nieruchomego *zmarłego* księcia, *położonego* we Francyi i *ruchomego* w Rosyi." Kto tu jest: zmarły, położony i ruchomy, książę czy majątek — tylko domyśleć się można, bo składnia gramatyczna nie wskazuje.

Panu M. Zgryzota. Ani z wierszy, ani z nadesłanego tłomaczenia korzystać nie będziemy.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Декабря 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.